

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem

M.
B. P.
W
Łódź

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 5-12 czerwca 1949 r.

Nr 23-24 (202-203)



Bronisław Chęciński

S T R A J K
WE WSI DREWNIANEJ

Kiedy po wiejskich i miejskich opłotkach
panował słynny generał Sławoja,
we wsi Drewnianej wysoko murowany komin fabryczny
stał.
Na około sto metrów pod chmury wyrastał swym
otworem dymnym,
a w dole rosły starsze, pomniejsze kominy.

W tych starszych wypalał kamień na wapno mój ojciec, człowiek niewielkich rozmiarów, przywędzony na twarzy.

aż od patrzenia w węglowo kamienny żar oślepi, a później jeszcze gorszy wypadek ojcu się zdarzył. Nie dożył on więc tego rozkwitu, uwiecznionego wspomnianym wyżej kominem, podłożył pod niego drożdże: pot swój i krew, a oglądać go mógł oczami osieroconego syna.

Zapewne ani myślał, ani przypuszczał stary Antoni,
że jego syn będzie kiedyś pisał wiersze
i że opisując ów, który się stał krwawym problemem
komin,
napomknie we wstępie i o nim zgarbionym jeszcze.

Wież Drewniana biegła lekkim spadkiem
wzdłuż międzymiastowej szosy
i drzewa tam rosły i ptaki
śpiewem przypominały wiosnę.
Łukiem popluskującym wśród niebogatych zarośli,
wybłyśkując niebiesko z traw powierzchnią szklaną,
płynęła zazwyczaj spokojnie, marszczona przez wiatrów

i płynąc, opasywała wieś, poila ptaki i było
znajoma rzeka Nidziana.
Między wsią, a rzeką od strony zachodniej,
miały miejsce wapniowe pagórki.
Wśród nich to właśnie ojciec starego, a młodego Ratlera
osadził fabrykę wapna z panem Pochyłym do spółki.



Fabryczka była to prymitywna, ale ludzie głądzeni pod włos,
pracowali po to rzetelnie,
aby po kilkudziesięciu latach roboty zmienić ją
w nowoczesną, wapienną gorzelnię.

Ludzie we wsi Drewnianej małorolni, niedożywieni, wychodzili często w niedzielę na wapienne pagórki i wraz ze słońcem patrzyli chciwie za rzekę po ziemi, gdzie szeroko i tłusto zieleniał łąn dworski. Łan zieleniał i szumiął

i wyrastał plonem bogatym,
lecz jeżeli który z naszych mało-, lub bezrolnych ukraść

z dworskiego, to tyle skorzystał, nic więcej poza tym.

Łan zieleniał i szumiał,
również z tego wynika, że bywała w Drewnianej wiosna.

Wiesna w przyrodzie tak,
ale w ciasnych, okopconych chatach

o tej porze największa nędra rosła.
Przednówek w tamtej wsi to nie pora
żywiolowej w sercach radości
i chociaż ćwierkały ptaszki w krzakach i na polach,
u człowieka głodnego im słońce wyżej, tym większy
ciężar rozrastał się w kościach.

Kłął często taki człowiek: Niech jasna cholera taki rząd i porządek, i prawo zabiera. Nazłorzeczył się do syta, z ostatnim groszem na wódkę do Polipa z kumotrami poszedł.



Wzdłuż lat wielu tak było,
w takiej sytuacji
pan Ratler z fabryki rozbudową
podniósł nawet wsi życiowe racje
i tęsknoty, sunące za rzekę do ziemi,
z dworskich pól przeniosły się w fabryczne podcienia.
Z przyzwyczajęń dawnych
stosunek do Polipa pozostał bez zmiany
i po wypłacie nikłej, w niedzielę każdą
w karczemnej salce peino bywało i gwarno.

Pan Ratler na tym nie tracił, robotnik pijany był w mniejszym stopniu na hasła podatny, niech się tam w awanturach prywatnych wyżywa, gdy on nową kopalnię wapienia odkrywa.

Stopniowo szło bogactwo w kieszenie Ratlerów, jeszcze względny dla ludzi był z nich pierwszy, pionier, syn jego, pomnożył fabrycznych kominów, nie potrzebował już tych pozorów i manier. A kiedy wnuk starego Ratlera pioniera, co do Paryża na studia wyjechał, powrócił, w nowy sposób zaczął się dobierać do naciągniętej już przez dziadka i ojca skóry robotniczej.

Nastąpiły zaległości w wypłatach, później z dni urosły tygodnie oczekiwania, aż z miesięcznych zaległości uzbierało się całe lato. Darmo na p. Ratlerów pracowała wieś Drewniana. Burzyli się ludzie, a później pocieszali widokami na zasłitek zimow.

Bez nadziei na wypłaty Ratlera, jedli jałowe ziemniaki z barszczem i pracowali, aby wyrobić potrzebne tygodnie na „dziadówiznę” w martwym sezonie zimowym. Na co wam pieniądze, macie przecież swoje kartofle nowe,

tak sobie często z ludzi Ratler ojciec dworował,
a młody, syn, w takie cegregie się nie bawił
on „zaprawiał“, „w mordę“, gdy mu się kto naprzykrzał,
walił.

Spółnika Pochyłego Ratlerowie już dawno zjedli i teraz wiedzą przynajmniej, że „pracują“ dla siebie. Wkrótce nad wsią Drewnianą nowy komin stanął, ten właśnie komin najwyższy, murowany w chmury, o którym to na wstępie niniejszego wspomniano. Stanął komin, a pod nim ogniotrwałym murem w ziemię wgrzyły się pieców pojemne kanały, nowoczesne palenisko rozgorzało ogniem, który bielejac, parzył oczy wyglądniałe.

W NUMERZE

między innymi:

M. Koliba — Pisarz walczący dialektycznie
M. Żmigrodzka — W walce o literaturę proletariacką
W. Kowalski — Wieś stoi otworem
J. Miller — Wiersze
Z. Rzeplińska — Do roli sługi kapitału
W. Kuszyk — Przed Kongresem Związków Zawodowych
F. Apryas — Taka jest odpowiedź klasy robotniczej
T. Krępowiecki — Narodowość (Centralizacja)
W. Łukaszewicz — Głos chłopskiego socjalisty sprzed 115 laty
P. Pigwa — Organizacja postępu na wsi
W. Jedlicki — Twórcy nowego socjalizmu
G. Tomala, J. Grabowicz, L. Młot — uwagi.

Podobno chłopcy wiecują,
a co im z tego przyjdzie,
jeszcze Polskę zbolszewizują —
nie ma spokoju dzisiaj nigdzie.

Spokoju tobie trwożliwa duszo mieszcza
i żeby nic nie tamowało złotodajnych źródeł,
ażebys mógł dla wytchnienia harmonijnej muzyki słuchać
a tu harmonię mącą zbyt natrączywe głosy ludzi
chudych.

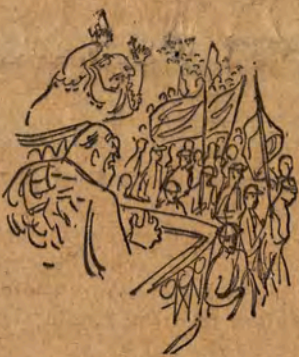
Te głosy przerodzą się w muzykę inną,
pod jej wpływem zblednie burżujskie oblicze,
popłyną jeszcze potu daremne i krwi strugi, popłyną,
ale już weszło to, co musi przyjść i przyjdzie.
Wiedzą, co przyjdzie, wszyscy ci,
co dziś wiecują pod strzechami,
ich towarzysze z miast i wsi,
bo to, co przyjdzie, ich wybawi.

Dziś oni walczą o chleb prosty,
o łyżkę strawy, życia rację,
ale dziś tylko jest pomostem,
przez który w jutro wzrok ich patrzy.
Jutro to pełnia praw i władzy
u sprawiedliwych rąk roboczych,
nie dojdą starzy, dojdą młodzi —
ich ręce dzisiaj z jutrem złączą.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym którymś roku
we wsi Drewnianej znowu wiosna,
jak świeżo żółcą się kaczęce w łąkach
i ptak przylotny nuci głośno.
Tarnina błyszczy kwietnym śniegiem,
zielen bogaci wąskie pola,
ziemniaki sadzone w szeregi
wychyną wkrótce z biedniackiej roli.

Nie jeden płakał w taki czas,
nie jeden wódkę żłopał w karczynie,
ale tej wiosny jakoś razem —
wspólnym głosem życie wsi brzmi.
Może niechętny jest tu ktoś, na palcach policzony kulaś,
lecz tylko ogół znaczy coś,
większości głos się liczy — tak.

Ludzie tu dawniej tak nijacy,
których fabrykant w twarz biał,
teraz świadomi praw swej pracy,
ciągnionej z nadwątłych żył,
stają i wiedzą, o co rzecz
w tej polityce dzisiaj idzie:
z wyzyskiem kapitału precz,
a po nim nowe życie będzie.



W ciszę wsi równo kroki idą:
twarze z nad pluga i kilofa,
a na tych twarzach nie ma kpiny,
z surowych ust bojowa strofa:
„O cześć wam panowie magnaci...“
„Krew naszą długo leją katy...“
„Wyklęty powstań ludu ziemi...“,
Śpiewają usta, oko patrzy.

Nad głowami chmura czerwona faluje,
sztandary rozplywają się z wiatrem,
z wiatrem łopocą majowym i z szumem,
aż się p. Ratlerom na robaczywej duszy robi nieładnie.

Właściwie w tych okolicach takich rzeczy nie widziano,
czytało się tylko o pierwszym maju w rządowych
gazetach
i z ambony potępienie na demonstrantów brzmiało,
ktos widział pochody robotniczymajowe w mieście, ale
nie tak.

Urodziłem się w 1915 r. we wsi Tokar-
nia w pow. kieleckim. Zarówno ojciec jak
i matka pochodzili z rodzin chłopskich,
a ojciec z rodziny robotników dworskich,
obdarowanych później t. zw. serwitutem,
sami jednak rodzice nie posiadali żadnej
własności, z wyjątkiem ubogiej chałupiny.
Byliśmy więc rodziną w pełni robotniczą.
Ojciec pracował między innymi w miej-
scowej fabryce wapna i na kolei, a matka
aż do późnych lat życia wynajmowała się
dorywczo do sezonowych robót polnych
u bogatszych chłopów.

Na skutek nieszczęśliwego wypadku oj-
ciec wcześniej zmarł w latach mojego dzie-
ciństwa. Prócz mnie w domu były trzy
starsze siostry, które we wczesnych latach
musiały na siebie pracować. Pod opieką
owdowiłej matki zdołałem ukończyć
7-klasową szkołę powszechną w pobliskim
miasteczku Chęciny. W szesnastym roku

Tu idą robotnicy — małorolni chłopcy,
tak maszerują śmiało jakby nigdy nic.
Spogląda na nich nie bardzo
i krzywo karczmarz Polip,
gapią się inne polipy,
lecz nie śmia mówić nic.
Już poznać twarz z bliska,
idzie Grzela Fertyn,
Kobus, Gibas, Sołtysik,
Knot, Piegza, Zych, Pięta.
Cielebała, Jakóbczyk, Rzepka, Murowaniec,
Morawski, Ciosek, Pytlas, Zapala, Szafraniec,
równym krokiem stąpają Wojtki, Stachy, Józki,
widać ich w lustrze rzeki, co pod mostem pluska,
bo właśnie most przechodzą nad rzeką Nidzianą,
by na południe w mieście powiatowym stanąć.

Orkiestra marsza rewolucyjnego gra,
u czoła tego małorolnego pochodu,
niech pan starosta zobaczy nas:
chleb, sól i wapno narodu.
Czy pan starosta o tym wie,
jak my w Drewnianej żyjemy?
O panie starosto, spotkamy się
na naszej małorolnej ziemi.
Dziś pan starosta nie zechce nas widzieć,
wystarczy mu oczy policjantów,
lecz niedługo sam do nas przyjdzie
i w układy zechce wejść z chamstwem.

Ratlerowie początkowo nawet się przerazili,
a później poczęli całą sprawę lekceważyć,
lecz na nowe zaległości w wypłatach robotnicy nie
pozwolili,
nie dali się fabrykantom starym sposobem zażyć.

Bywały strajki różne, lecz
ten strajk z wydzwiekiem krwawym
inny miał ciężar, inna treść
wzbierała w ich postawie.
Robotnicy nie opuszczali swych stanowisk w fabryce,
a Ratler patrzył na to i pinił, i dziwił się:
To niesłychane, aby mi tu rządzić mieli ci...
Kto by się mógł spodziewać po ludziach z takiej
spokojnej wsi...

Spokojna wieś ma na ciebie, krwiopijco, bat,
te chamy nie pozwolą ci się głodzić,
minęły czasy, kiedy mogłeś ich po mordzie lać
bezkarnie, dziś uważaj, gdy obok nich przechodzisz,
bo chociaż partyjna trzyma ich dyscyplina
i szkoda na ciebie robotniczej ręki,
może się zdarzyć, że któryś nie wytrzyma
i pięścią mimowoli zaważaj o twą zachłanną szczękę.

Panie starosto, mówi młody Ratler
rozzuchwiliło się chłopstwo, nie ma co mówić,
strajk okupacyjny urządzili w mojej fabryce
i w ogóle szerzy się wśród nich coraz bardziej komunizm.
Tych agitatorów jakoś trzeba wylapać,
aby nie macili ludziom w głowach,
ze strajków idzie też i dla państwa strata,
ja już nie mam siły z nimi więcej wojować.

Nawojowałeś się ob. kapitalisto, owszem tak,
no już bardziej na kościach nie dała się robotnicza skóra
naciągnąć

i poniekąd jest w tym zasługa twa,
że uświadomieni o swoje prawa walczyć już mogą.

Starosta marszczy czoło, hm —
głośno do Ratlera myśli,
jeżeli tak, to trzeba będzie, hm,
jakoś ten teren oczyścić.

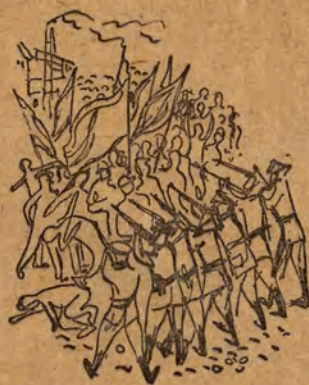
Słuchajcie obywateli, robotnicy firmy Ratler,
przemawia oto do was pan powiatowy starosta,
dostaniecie od dyrekcji należną wypłatę,
tylko przystąpić do pracy musicie i podlegacie nam
oddać.

Mówi starosta, a za nim aż czarno od granatowych
mundurów,
policjanci stoją uzbrojonym murem.
Pan starosta przemawia mądrze i łagodnie,
lecz małorolni patrzą na niego chłodno:

Panie starosto, bardzo ładnie,
ten złodziej nas nie od dzisiaj kradnie.
Nie pozwolimy się więcej doić,
a co się pan starosta tak o niego boi?
On tu na naszej krwi utuczony, nie zdechnie
i mimo naszej biedy żył będzie nadal pięknie.
On każdą chwilę stroi w „Paryskie“ perfumy
i mówi, że od nas głodnych zalatuje gównem.
Dziwek mu i szampana, nam dosłownie chleba,
ale po diabła panu tłumaczyć.
Panie starosto, wy się obaj znacie po cholewach,
wy się obaj po cholewach znacie.

Pan starosta unosi się, wzywa,
a oni szeregi ścieśniają i protest się wyrywa:
Nie zaprzestaniemy strajku!
Nie damy przywódców!
Nie rozejdziemy się do domów!
Nie jesteśmy głupcy!

Pan starosta nie patrzy w czarne,
wapnem i dymem zżarte twarze,
bo mógłby w nich wyczytać ten los marny,
o którym każda, przedwczesna zmarszczka gwarzy.
Pan starosta unika spojrzeń zapalczywych,
nie patrzeć i nie myśleć
i w ogóle nie chce wiedzieć o niczym,
co mogłoby się w nocy złym snem przyśnić.
On robi swoje:
Wzywam raz ostatni...
Brać ich,
Przywódców!
Nie damy!...
Ognia!



Czarna ława granatowych mundurów zbrojnie ruszyła,
rozdzierające zafalowało powietrze,
opadł i wzniósł się krzyk
i już małorolno — robotniczy tłum czerwona krwią
spływa.

Nim opadł, krzyk się rozpowszechnił.
W okolicznych wsiach
słychać go było i wiedzano dokładnie w nich,
czego w tym krzyku wieś Drewniana chciała.

Krzyk opadł na widok krwi,
uszanowanie krwi proletariackiej,
bolesne jęki dają znać, że w rannych jeszcze życie tkwi,
lecz ci nie powstaną już, co u stóp wysokiego kominu
znieruchomieli w piasku.

Cześć przybitym kulami do ziemi,
z nią związanym strugami czerwieni,
Towarzysze odeszli żywym znak przesyłają w ten sposób
i żywi ten znak podejmą i dalej będą go nieśli.

Przed wysokim kominem przeszła ostatnia defilada,
przy dźwiękach żałobnego marsza idą,
w czarnej trumnie sosnowej spoczywający robotnik,
i w trumnach za nim chłopcy z Drewnianej, synowie
małorolnej biedy.

Odprowadzają ich wszyscy pozostali żywi,
tłumy, tłumy robocze, a czerwone maki,
wrosłe na chudej ziemi Drewnianej wsi,
barwią piersi — kwitną na nich znakiem.
Sztandary nad głowami z tej samej co maki barwy,
z tej samej co krew wsiąkła we fabryczny grunt.
Czerwone fale szturmują. Że krew nie pójdzie na marne,
mówią oczom patrzącym z podniesionych głów.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

OD REDAKCJI:

Poemat „Strajk okupacyjny we wsi Drewnianej“ jest utworem samouka. Widać w nim, jak sila i patos faktów społecznych oraz przekonanie pisarza przelamują granice tzw. „twórczości samorodnej“ i tworzą autentyczny pisarski o prawdziwie wzruszającym, prostym języku poetyckim.

Wątek treściowy poematu odnosi się do rzeczywistych zajęć, jakie miały miejsce przed wojną w zakładach przemysłowych „Zamczysko“ we wsi Tokarnia w woj. kieleckim, gdzie w kamieniołomach i piecach wapiennych pracowało kilkuset robotników, przeważnie małorolnych chłopów miejscowych.

Autór poematu — Bronisław Chęciński pisze o sobie.

życia zacząłem pracować zarobkowo, dor-
tywczo, to na łanie dworskim, to na torze
kolejowym, to znowu udzielałem korepety-
cji dzieciom z pierwszych oddziałów szko-
ły powszechnej, to pracowałem jako po-
moc kancelaryjna w biurze zawiadowcy
kolejowego.
Tę ostatnią pracę porzuciłem, pożegna-

łem strony rodzinne i mając osiemnaście
lat wyjechałem do Gdyni „szukać szczę-
ścia“. Tu znowu tulałem się jakiś czas, pra-
cowałem jako robotnik w składzie żelaza
i materiałów budowlanych, mieszkałem
był jak i żyłem jeszcze gorzej. Później
pracowałem w kancelarii adwokackiej, na
marnie płatnej „praktyce“ biurowej, póź-

niej w pewnym banku w charakterze niż-
szego funkcjonariusza, ale już nieco le-
piej płatny. Zdołałem ustabilizować swoje
warunki życiowe na tyle, że w nielicznych
wolnych godzinach mogłem pracować nad
sobą, kształcić się dalej.

Ostatnie dwa lata przed wojną spędzi-
łem w twardej służbie wojskowej, a po
kampanii wrześniowej z frontu wprost do-
stałem się do niewoli niemieckiej. Po po-
wrocie do kraju osiedliłem się znowu
w stronach rodzinnych. Następnie objąłem
pracę w Urzędzie Inf. i Propagandy. Obecnie już od blisko roku pracuję jako
aktor w teatrze lalek i przypuszczam, że
zawód ten nie będzie u mnie ostatnim.
Dążę w dalszym ciągu do ustabilizowania
warunków życiowych i, mimo że mam na
utrzymaniu kilkusobową rodzinę, marzę
o możliwości wyższych studiów.

swoje rzemiosło — to hasło każe mu, pierwszemu ze wsi popańszczyźnianej, uczyć się czytać i pisać. Trzecią wartością wzoru osobowego proletariusza wiejskiego było **rozglądanie się po świecie**. Półmorgowy chałupnik musiał dobrze orientować się w tym, co się dzieje w obrębie gminy, powiatu i dalszej nawet okolicy, gdzie są bogatsze gospodarki, gdzie znajdują się folwarki, żywo obchodzą go powstająca w okolicy cegielnia czy cementownia. Chciwie też pochłaniał wszelkie wiadomości o świecie, gdzie kopalnie, gdzie huty, jakie odległości od nich go dzielą i które drogi do nich prowadzą. **Geografia gospodarcza** stanowiła podstawę jego praktycznej wiedzy. On to do wsi będzie przy-

woził wieści o dalekich miastach i krajach zamorskich, on będzie wracał uzbrojony w wiedzę fachową, zamiłowanie do ładu i bar-dziej cywilizowanego życia. Nietrudno od-powiedzieć na pytanie, co wytwarzało dyna-mikę naszej wsi — czy patriarchalny gest siewcy i profil oracza czy właśnie ta masa drobnych i bezrolnych z jej ruchliwo-scią i zdolnością przechodzenia do różnych **kęgów pracy**. W trudnych sytuacjach eko-nomicznych odkrywały się możliwości twó-rze chłopca, jakich właśnie tradycyjny kmięć na parceli okazać nie mógł.

L. Sobierajski

(„Wies” Nr 18—19/48 r. „Z takich był Pstrowski”).

PIERWSZE DZIESIĘCIOLECIE DRUGIEJ NIEPODLEGŁOŚCI

Demokratyczne hasła N. P. Ch. zyskały w masach proletariatu wiejskiego ogromną popularność. Ciemiężony przez system kapitalistyczny i praktyki biurokratyczne chłop małorolny i robotnik folwarczny widzą w nowej partii chłopskiej prawdziwego obrońcę i orędownika i bez zastrzeżeń udzie-lają jej swego poparcia. Postępowy element wsi staje się wnet nie tylko wdzięcznym kon-sumentem przekazywanego na łamach „Nie-zależnego Chłopa” słowa drukowanego, ale także swoimi niezwykle ciekawymi wypowie-dziami zapełnia coraz dłuższe kolumny w tym organie. Wypowiedzi te dają nam dziś dosko-nały przekrój stosunków społeczno-politycznych na wsi w latach 1925—1926 i zasu-gują pod każdym względem na dokładniejszą analizę.

Oto ciekawy głos chłopca z Perespy, pow. Tomaszów Lubelski:

„Chłopi najmniej są czytani i obeznani z polityką. Wiedzą tylko tyle, że im się dzieje krzywda, że są wyzyskiwani przez różnych leniuchów, darmozjadów, pasorzytów, którzy się pasą na pracy człowieka. Jak kiedyś chłopci musieli robić pańszczyznę, tak teraz zamiast na panów muszą pracować na podatki, które przychodzi mało nie co tygodnia. Krzykaczy politycznych jest w Polsce aż się roi i wszyscy mówią że bronią sprawę chłop-ską, ale tej obrony wcale nie widać.

Pokazałeś chłopie podczas wojny, że jesteś dobrym synem ojczyzny, gdyś się bił z takim samym obdartym, wynędzniałym z niedzy i głodu chłopem, a w nagrodę otrzymałeś ja-kąś odznakę zrobioną z brązu wartości 35 gr. Obiecywali ci ziemię za darmo, pierwszeń-stwo na posady itd. Posadę i ziemię pozabie-rali sami dowódcy, a ty chłopie masz nie-ustannie wypłacać tych swoich kilka morgów i nigdy nie wypłacisz...” („Niezależny Chłop”, Nr 2 z 1925 r.).

W podobnym duchu utrzymana jest wypo-więdź działacza chłopskiego Kłopotowskiego ze wsi Koczery, powiat Bielski Podlaski („Niezależny Chłop” nr 12 z 1926 r.):

„Będąc ochotnikiem w wojsku polskim, walczyłem za Polskę, chcąc żeby ona była wolną i niepodległą. Zabory runęły, ale my jesteśmy jeszcze gorzej uciemiężeni naszymi rządami burżuazyjnymi. Ale cóż począć? Nasi gospodarze po wsiach tylko wiedzą, co zjedzą, a co się dzieje w sejmie i se-nacie, o to nie dbają. Narzekają tylko wciąż i przeklinają tę naszą Polskę uko-chaną. Ale ty młodzieży wiejska nie trać chwili czasu, a czytaj gazety i książki, a do-czytasz się wielkiej prawdy: Kim powinniś-my być i dlaczego żyjesz na świecie. Bo dziś jesteśmy niewolnikami naszej burżuazji. Bo nie mamy prawa mówić nawet o naszej Pol-sce, bo jeżeli ktoś głosi prawdę dla ludu ciemnego, który pracuje na roli, to zaraz po-liaja takiego aresztując jako komunistę, że podburza ludzi przeciw państwu.

Otóż bracia patrzcie, jak nas idealistów, którzy pracujemy dla ogółu i dobra Polski — traktują. Zrozumieli, że na tobie cały kraj nasz stoi, a co zechcesz, to zrobisz. N. P. Ch. wzywa was do czynu, nie jest to podstęp, ani oszustwo, lecz obrona ludu ciemiężonego, który pracuje na roli i bieduje. Więc organi-zujcie się bracia po wsiach i czytajcie gazetę „Niezależnego Chłopa”. Niech żyje Polska Chłopsko-Robotnicza!”



Stefan Ignar
Prezes Zarządu Głównego Z. S. Ch.



Józef Niecko
Prezes PSL

A ileż beznadziejnej rozpacz zawiera w so-bie głos zdemobilizowanego z wojska syna chłopskiego z Tarczyna, przy ówczesnym przeludnieniu wsi oczywistego kandydata na bezrobotnego:

„My żołnierze z 1902 rocznika, zdemobili-zowani z wojska dnia 20 września 1925 r. je-steśmy bez pracy, która postradaliśmy od-chodząc do wojska i żyjemy jak niewolnicy, którzy nigdy światła nie widzą, a pragną wolnymi być...”

Nielepsze stosunki panują zresztą w na-szym przemyśle. Oto głos płodnego korespon-denta „N. Chłopa” St. Dziedzica z Borysław-wia:

„Z piekła borysławskiego. Przemysł na-ftowy stacza się w przepaść. Polowę robotni-ków wyrzucono na bruk i zapowiadane są dalsze redukcje. Ci, którzy pracują, ledwie żyją. Wypłaty przeciąga się po dwa miesią-ce. Sklepiarze na kredyt nie chcą dawać z powodu spadku i niepewności zło-gu. Le-karze mówią do robotników: odzywajcie się lepiej, bo nie będziecie mogli pracować. Kasa chorych zawalona chorymi z wycieńczenia i psiego odżywiania. W warsztacie, gdzie nor-malnie pracowało 300 ludzi, pracuje dziś tyl-ko 30 i zapowiadane są dalsze redukcje.

Mieszkania robotnicze to istne lepianki, gdzie grzyb i wszelka choroba królują. Jakże rozgoryczenie panuje między robotnikami, to tylko ten wie, kto się między nimi obra-ca. Związki zawodowe rozbite przez PPS. Po Łodzi, Dąbrowie i Górnym Śląsku przyszła i do nas straszna nędza (Nr 4/26).

Wszyscy korespondenci „Niezależnego Chłopa” słusznie przypisują opłakane położenie wsi i proletariatu robotniczo-chłopskiego zdradzie klasowej oderwanych od dółów działaczy chłopskich i robotniczych oraz ugo-dowej polityce ówczesnych partii chłopsko-robotniczych. Jedyny ratunek widzą oni w zjednoczeniu chłopsko-robotniczym, które głosi N. P. Ch. i dlatego garną się pod jej sztandary. Daje temu wyraz m. in. Władysław Kowalski w artykule polemizującym z poli-tyką „Wyzwolenia” („Niezależny Chłop”, nr 13, z dnia 14. 3. 1926 r.):

„Tak oto dzięki polityce ludzi małych, lu-dzi, którzy zbłądzili na manowce, ludzi, któ-rzy stale są ulegli woli endecji — runął gmach przez tyle lat budowany, a została jedynie kurna chata, z której już nikt pożytku mieć nie będzie. Od trzech lat żadnej pracy klub nie prowadził i żadnego programu pracy nie posiadał. Dał się ogłupiać i ulegał ich postrachom a także endecji: demagogia za-ciagała od „Piasta” i tak na cudzym rozumie żył, aż zmarł z lenistwa i niemocy...”

„Jeśli też i to wziąć pod uwagę, że ośmle-lona ich uległością endecja z „Piastem” uchwalają coraz wsteczniejsze ustawy i jeśli zważymy na ten niedopuszczalny fakt pod-zimnego zamachu na wolność osobistą oby-watela, na prześladowania kresów, jeśli je-szcze do tego dodamy nędzę okrutną chłopów w Polsce, dalej złodziejstwo na urzędach, ano jeśli dodamy milczenie stronnictwa, któ-re się zwalo ludowe, to jasnemu chyba jest jak słońce, komu ono służyło i służy...”

Nic dziwnego, że w tej sytuacji masy ro-botniczo-chłopskie coraz częściej podnoszą głos protestu, a w niektórych miejscowo-sciach przychodzi do krwawych starć policyj z bezrobotnymi.

W. Błechut

(„Wies” Nr 13/49 r. „Niezależna Partia Chłopska”).

DWIE DROGI

Miedzy rokiem 1913 a 1939 mogliśmy oglą-dać trzy formy wrastania wsi w kapitalizm. Wokół możliwości reformy rolnej deptała statecznie klasa kulaków „Piast” życzył so-bie reformy z wykupu, czyli dalszej, dobro-wolnej, tyle, że przyspieszonej licytacji ma-jątków obszarniczych. Wykupiliby parcelę kulacy, dla siebie rezerwując awans spo-łeczny i ekonomiczny. Średnia własność, so-lidna podbudowa liberalnego ustroju. Lat międzywojenne nie otwarły bram prze-mysłu dla odpływu ludności wiejskiej. Osiem milionów zbędnych na wsi zmusiło ośrodki chłopskiej orientacji antyrobotniczej do pogodzenia się z myślą wydania folwar-ków ziemiankich na łup szerszego kręgu chłopskiego niż klasa kulacka. Wobec tego uznano tu rewolucję, ale z r. 1791, niespeł-nioną u nas Rewolucję Francuską. Zrobiono wszystko, aby zdobyć przez biedotę parceli stało się jej celem ostatecznym. W publika-cjach i propagandzie odrodził się kult za-grody, wieczystego znamienia chłopskości. Wyraźnie rewolucja miała być powrotem do dawnych form i stosunków, szczęśliwie upo-wszecznionych na wsi. Ale właśnie dlatego, że rewolucja miała być w treści burżuazyjna, w swoim „na jutro”, lokowała się w łożysku kapitalizmu imperialnego — faszystowskiego. W takim tylko kapitalizmie była szansa na rozminięcie się z klasą robotniczą, z jej osia-gnięciami (produkcja przemysłowa, społecz-niona, robotniczenie ludności) i celami (oba-lenie ustroju kapitalistycznego). Projekt „Izby gospodarczej z hierarchicznymi ogniwa-mi”, który miał utrwalic warstwę chłopską w pozycji klasy zawodowej rolników (a to nie w kij dmuchał — 70% ludności!), wiązało się żywcem w pierwsze próby korporacyjno-stanowego zorganizowania narodu, jakie pod-jęła faszyzująca sanacja. Z tego samego ośrodka „młodej” myśli ludowej wyrzelały koncepcje, konsekwentnie budujące przy-szość warstwie chłopskiej, jako korporacji właścicieli parcel. Za mało parcel? Za mało parcele? — szukajmy ich za granicami kra-ju. Na tej drodze można zrozumieć hasło „Blut und Boden”. I trudno zaprzeczyć zbieżności. Tu się otwierała straszliwa zgod-ność kraju „chłopskiego”, kraju półkolonii z imperialistą, sposobącym się do skoku inwazyjnego.

Od dziesiętnastowiecznego liberalizmu Wi-tosa, który głosił: „trzeba czasu i wysiłku, czasu i wytrwałości”, a kto „mądry i mocny” dojdzie do swego — doszliśmy w 30 lat póź-niej do mitu warstwy chłopskiej, dla której trzeba „miejsca”. W tej fazie mogła być mo-wa tylko o zwyrodniały wrastaniu w kapi-talizm.

Dla klasy robotniczej sprawa celu rewolu-cji stała inaczej. Ona chciała i chce



Czesław Wycech
Przewodniczący Rady Naczelnej PSL

odziedziczyć po kapitalizmie technikę produk-cji przemysłowej, chce jej otworzyć drogę nie-hamowanego rozwoju. Ona przedłuża trady-cję produkcji społecznej, w niej widząc pod-stawę do zniesienia nierówności klasowych i do utrwalenia społeczeństwa bezklasowego. Sama będąc klasą, pochodzącą ze społeczeń-stwa klasowego, swoim aktem rewolucyjnym nie zamienia jednego pana na drugiego, jak to uczyniła Rewolucja Francuska. Przeciwi-gnie, kładzie kres stosunkom klasowym, skoro własność produkcyjną (fabryki, kopalnie, usługowa komunikacja, banki), w której jej udział był dotąd udziałem społecznej pracy, oddaje państwu jako własność społeczno-na-rodową. Wreszcie — w konsekwencji samej przejsię większej części chłopstwa w świat pracy pozarolniczej. W ustroju kapitalistycz-nym oznaczało to przejście z deszczu pod-rynnę, w proletariatu, niewolnika burżuazji. W ustroju ludowej demokracji, w ustroju urzeczywistniającym się socjalizm oznacza wyzolenie chłopstwa z relikwów feudalnego zamknięcia w gromadzie parafialno-sąsiedz-kiej i z kapitalistycznej klasy drobnych po-siadaczy i proletariatu wiejskiego, wyzwole-nie w społeczeństwo bez klas, w jedną, wspólną kulturę.

J. A. Król

(„Wies” Nr 36—7/48 r. „Ostatnia klasa ka-pitalistyczna”).

OBRAZ WSI W OSTATNICH LATACH PRZED WOJNĄ

Po Piotrze Króliku spadkobierców ośmiu. Wszyscy dorosli, pięcioro już żonaty. Każdy chce oddzielnie żyć z swymi rodzinami. Ale jak, gdy świat wokół „deskami zabity”? Gdy nie ma wejścia do innego zawodu? Nie było więc innej rady, tylko mus było podzielić ojcowiznę, dorobić do reszty u bogaczy, czy we dworze i klepać biedę.

Chałupina podzieliła się na trzy. Niby „nowo-czesna” była i jakoś dała się „przeżyć”. Naj-starszy syn zamieszkał w kuchni, dwu w przeprawionym pokoju. Wyjście porobili osobne, aby sobie nie przeszkadzać. Wyrznięli dziury w bokach ścian i powprawiali drzwi. I „zachaję” z chojny też zamiast sieni poro-bili. Tchnąca przyroda sień niewygodna, bo choć pomieści na zimę drzewo i różnorakie gracka, ale śnieg zakurzy do imentu, zaś w lecie igliwie obleci. Więc trzeba co roku poprawiać, albo nową robić. Ale to nic, chojny pełno po lasach.

Sadłem koło chałupy i polem dzielił się jak zgłodniały kromka chleba. Nie z chciwości, brzo Boże, bo te Króliki to nawet zgodna z sobą rodzina. Ale pięć morgów tego na ośmiu, to dość wąsko dla jednego wypad-nie. „Pomierca” taśmę gwoździem do tyczki przymocował i wyciągał prociutko. I pod oczami wszystkich spadkobierców ołówkiem w ziemi punkcik na paliku znaczył. Dzielił się „kiebry kielbasą”, by nikogo nie pokrzyw-dzić, nie zwęzić na centymetr działki każde-go właściciela.

Na sadzie stanęły jeszcze dwie chatki. Pie-trek Szołek i Jasięk Wiecezorek (zwagrowie) skłecili je za spłaty rodzinne. Dla trojga po-zostałych brakło już placu.

Chałupina Ludwika Nabagła jeszcze nie-wykończona, a już się poczęła walić, że ją chłopina słupami popodpierał. Nic dziwnego, skłecił ją z próchniaką poza wsią na dwu-morgowej działce i z ośmiorgiem dzieci wiół dziadowski żywot. Nic to nie pomogło, że Lu-dwik był ogromnie pracowity i „zmyślny” do wszystkiego. Trudnił się wycinaniem w lesie bijaków, murarką, stolarką, ciesielką, nawet trumnę dla „lichszego” nieboszczyka też zro-bił. Miał „siedem fachów, a ośmą biedę”. Ni-gdy nie było czym zasiał, obsadzić jęczmienia co rok już od marca brakowało. Dzieci już od ośmiu lat oddawali do służby gospodarzom. Każdy brał chętnie te pracowite „niebożat-ki”.

Franek Przeździek powrócił z Francji. Zre-dukował go tam, więc wrócił do wsi, my-słąc, że się jakoś da żyć. Kupił od Wasika stary chlewik i na półtoramorgowej działce, jaką żona dostała w posagu — w lesie, het poza wsią aż dwa kilometry, skłecił budinę. Na jedno miał wygodnie: i liście na ściółkę

pod kożę, drzewo, jagody i grzyby miał w domu.

Stachowi Czaplę obrzydło mieszkanie na odludziu. Usprządał kawałek ziemi, kupił we wsi plac i wybudował z gliny chałupę. Nie zdążył jednak wykończyć, bo bieda i morde-ga zniszczyły mu zdrowie. Zamieszkał więc w czterech pustych, nieobielonych ścianach. Jedynymi w izbie przedmiotami były stare niecki, stółek i ławka. No i piec w kącie. Ca-ła rodzina syptała na podścielonej na ziemi słomie, przykrytej starymi workami. Jadali bez soli, bo o okrasie zbyt ciężko wspominać, pono w życiu nie wachali zapachu słoniny.

W chałupie Czaplę naprawdę „straszyło”. Nikt tam nie zachodził, nawet „pan” sekwe-strator. Sołtys uchylał tylko drzwi i wołał Czaplę za próg do postawienia krzyżyków pod protokół „zajęcie nieruchomości”, jak np. zboże na pniu lub w snopkach. Czapla bez wahanja stawiał krzyżyki, odbierał pismo i rzucił dzieciom dla zabawki. Nie obchodzi-ło go wcale, co z nim sekwestrator robi. A no, „niech se zabierze dzieci i sprzeda na licytacji”.

J. Pogan

(„Wies” Nr 47/48 r. — „Wies w ostatnich la-tach przed wojną”).



Jan Dąb-Kociol
Minister Rolnictwa i Reform Rolnych

O KLASOWE OBLCICZE RUCHU LUDOWEGO

Krzyki obszarników, fabrykantów, księży i ich gazet, wszystko jedno czy to jest „Ilustrowany Kurier Codzienny”, czy „Ogólnopolski” lub „Rycerz Niepokalanej”, mają swój cel w tym, aby zohydzić nazwę „bolszewickie” wszystko to, co się masom należy i o co powinny walczyć.

Dnia 1 września Polskie Radio podało do wiadomości, że poseł dr Zaklika opracował program stanowej organizacji rolników, nad którym toczą się obrady w sejmowym kole rolników. Program ten przewiduje zawołanie organizacji rolników bez różnicy obszaru: chłop z dziedzicem mają tam znaleźć wspólne miejsce i z braterską miłością pracować dla... Państwa. Nie chodzi więc o ogół

chłopów, z których wielu jest bez ziemi i pracuje u obszarników, ale o chłopów gospodarzy, którzy odwdzięczając się za towarzystwo z obszarnikami w jednym „związku stanowym” zrezygnują z wywłaszczenia obszarników. Podobne organizacje „stanowe” mają powstać dla przemysłu i innych działów gospodarstwa społecznego. Jest to już wyraźny program faszystowskich korporacji, czyli niewoli chłopów i robotników. Chłop z obszarnikiem nie ma nic wspólnego, ani robotnik z fabrykantem. Istnieją już klasowe związki zawodowe robotnicze i musi powstać taki związek chłopski, a „stanowa organizacja rolników” posła Zakliki będzie miała tytuł zwolenników, co robotnicy Związek Zawodowy Zawodowych Wojtków Malinowskiego.

A więc nie przejmujemy się wrzaskiem burżuazji, że wieś jest zalana przez komunizm, ale walczymy o prawa i ziemię, a wprowadzimy w życie program pierwszego Rządu Ludowego, który to program dzięki machinacjom burżuazji nie był urzeczywistniony w roku 1918.

Wyteżmy wszystkie siły, bo choć dzisiaj jesteśmy wielokrotnie mocniejsi, ale i bogacze wraz ze swymi sługami płatnymi mocniej bronią się, niż kiedykolwiek.

(Ch. Z. G. nr 20, 13 września 1936)

Właściwa polityka ludowa nie wyszła do dziś poza ramy zadań skierowanych do wstępnych opiekunów i odruchów prowincjonalnych w postaci ostatnich krwawych walk w kilku powiatach Małopolski, za które to wypadki nikt nie chciał nawet wziąć odpowiedzialności.

Nie widać dotychczas zorganizowanej i świadomej siły chłopskiej. Zapowiada się zmiana na lepsze wśród chłopów młodych, ale też bezwzględnie trzeba przystąpić do rozszerzenia dziedzin i pogłębienia ideologii ludowej. (Ch. Z. G. nr 1, 1 marca 1935)

Trzeba tworzyć nowy prąd gospodarczy, dążyć do zlikwidowania bezwzględnej wielkości i średnich obszarów dworskich, przebudowy szkolnictwa rolniczego, tak do dziś zakłamanego i stworzyć silną organizację klasowo-gospodarczą bez jakiegokolwiek kumania się z wrogami **).

Polityka może być tylko wtedy silna, gdy wypływa z mocnych źródeł gospodarczych i wychowawczych. W przeciwnym razie nasi posłowie będą tylko stale czegoś od kogoś żądać nadaremno, jak Deczyński, a nie zyskają możliwości przeprowadzenia samodzielnego jakiegokolwiek zmiany w ustroju państwa. (Ch. Z. G. nr 1, 1 marca 1935)

Ludzkosć idzie do demokracji. Nie do liberalnej demokracji, w której masz prawo głosować, a do garnka nie masz co włożyć. Chodzi o rzeczywistą równość i sprawiedliwość. Ale o tę równość może walczyć skutecznie tylko chłop i robotnik. St. Ignar (Ch. Z. G. nr 4, 7 lutego 1937)

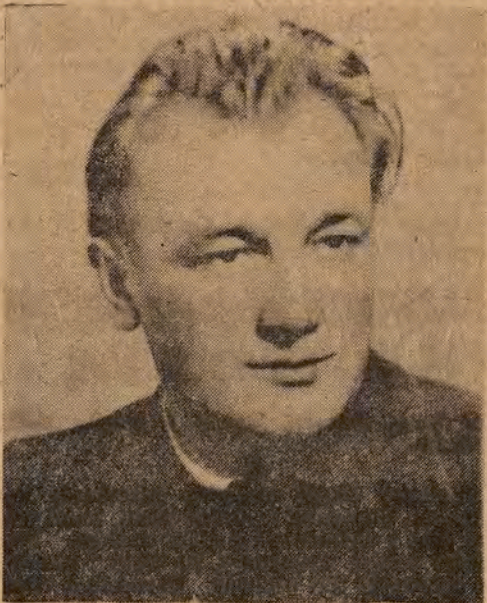
(„Wiś” Nr 4/47 r. „Z. Chłopskiego Życia Gospodarczego” w latach 1935—37“).

*) Zapowiedź Z. S. Ch.

**) Jest to myśl o potrzebie takiej organizacji, jaką dziś stanowi Związek Samopomocy Chłopskiej. Analogiczna do tej, jaką stanowiła przed wojną „Samopomoc Chłopska”.



Aleksander Juszkiewicz
Zastępca Sekretarza S. L.



Józef Ozga-Michalski
Zastępca Sekretarza S. L.

MANIFEST MŁODEGO POKOLENIA

„Jestem zdrowy, mam siłę, chciałbym pracować, ale czy jestem ja winien, że pracuję w Polsce nie ma. Takich jak ja, jest na wsi 8 milionów bezrobotnych chłopów, którzy żyją w nieludzkich warunkach bytu. Tylko, że ja, jak z dnia na dzień konam wraz z moją rodziną, nie chcę zostać jeszcze, by nie mieć żadnej godności ludzkiej i jak pies weszły tam, gdzie za ochłap razowej maki każą ci się sprzedać i prawowolnie wykonywać nałożoną ci nędzę, bez buntu i bez organizacji niezależnej. Gdyby te 8 milionów chłopów w Polsce, mając swą godność ludzką, stanęło do walki, zerwało z biernością i pokora swoją, to wtenczas w Polsce napewno by się zmieniło i Polska byłaby Polska Ludowa, bez krzywd i cierpień ludzkich. Dlatego też organizacje młodzieży chłopskiej niech zwróć uwagę na tych ludzi, a nie tylko na tych, co siedzą na morgach.

Ale! jedno! Dla takich komunistów, jak mnie nazywają nie ma pracy w Polsce.

Z chwilą zwracania się o pracę w różnych kierunkach odpowiadano mi: niech ci Wiś dadzą, odpowiadałem „dziękuję”, przyjdzie czas, że i dadzą...”

„Deptana dzisiaj godność chłopska, poniewierka, nędza materialna dopomną się swego. Biurokracja w kraju musi wiedzieć, że chłamek nie wolno poniewierać. Bo ten chłamek płaci podatki, żywi i broni niepodległość granic Państwa Polskiego. Ten chłamek utrzymuje biurokrację i ci z niego żyją, korzystając z nieświadomości ich. Ci panowie muszą wiedzieć, że chłop nie wolno traktować jak parobka, bo rola jego jest zdaje się odmienna. I chłop to dziś rozumieją. Dla tego też winni zmienić stosunek do chłopów, by im to kiedyś na zle nie wyszło. Dzisiejszy chłop nie ze swej winy stał się dziełem, doprowadził go do tego ustrój kapitalistyczny, ale ten chłop, choć w łachmanach, ma

duszę zdrową, serce czyste, z którego Polska musi się odrodzić.

Nie będę pisał o wartości innych, szczególnie potomków szlacheckich, gdyż sami oni dobrze wiedzą. Chłopi dzisiaj wiedzą, że wyzwolić ich może własna moc i siła, świądoma i karna, oparta o ustrój demokratyczny w Polsce i do tego dążą odczuwając potrzebę zdrowej i niezależnej organizacji młodzieży. Zaczęłam przygotowywać swoich kolegów do założenia tejże. I udało mi się.

W roku 1932 założyliśmy Koło Młodzieży Wiejskiej „Wiś” we wsi S..., gm. tejże. Lecz odrazu wszystko co żyło we wsi zaczęło krzyk wielki. Nauczycielstwo ze szkoły powszechnej i rolniczej, sekretarz gminy (ten najbardziej), ksiądz, policja (na pomoc) wszyscy przydupasi i wierne pieski ryczały w niebogłosy. Straszono piekłem, karami, represjami itd. Nie pomogło to. Zatem wściekłość. Protokoły, szykany, groźenie pod adresem moim ze strony slugusów, że mi kości połamią itd. W ciągu dwu lat istnienia koła samych kar mieliśmy na sumę 1200 zł drogą ukarania administracyjnego. W Sądzie Okręgowym kary te przeważnie umarzono, lub uniewinniano. Ataki te nie zalały nas. I wytrwaliśmy na posterunku sprawy ludowej. Dzisiaj ataki ustały, wiedząc o tym, że są próżnymi. A cechowała nas nasza niezależność, samodzielność w postępowaniu siły gromadnej, wolna i twórcza myśl, wspólna zbiorowa praca ku dobru wsi i Polski całej. Idziemy swoją drogą i wiemy czego żądamy i co nam się należy. Idziemy do Polski Ludowej, do Polski Zjednoczonej, Niepodległej,



Bolesław Podedworny
Minister Leśnictwa

w której nie będzie społeczeństwa podzielonego na dwa obozy: poddanych i uprzywilejowanych. To nam przyswieca i hartuje do walki”.

J. Chałasiński
(„Młode pokolenie chłopów”, t. III).

W POLSCE LUDOWEJ — SAMORZUTNA SPÓŁDZIELNIA PRODUKCYJNA

Właścicielem majątku był niegdyś baron Kronenberg, obszarnik i przemysławiec. Posiadał kilka majątków ziemskich, fabrykę w Warszawie i duże udziały w fabryce celulozy we Włocławku. W lutym 1945 r. Ł. normalnym trybem zmieniło właściciela. Fakt pozostaje faktem, że formalnie wyręczyli w gospodarowaniu poprzednika, właściciela tej ziemi, Kronenberga, 22 rodziny otrzymały po 5 ha ziemi. Inwentarz żywy, poza 24-letnim koniem, zniszczony był w 100 proc. Maszyny i narzędzia również prawie całkowicie. Zostały puste podworskie budynki, ziemia, 22 rodziny służyły folwarcznej i perspektywa gospodarskiego usamodzielnienia się na rozparcelowanej działce. Przyszła wiosna i rozpacz. Czym i jak obrobić ziemię?

Z trudem, pracując dniami i nocami, obsadzili pole. Okres do żniw przeżyli kartoflami, które zostały w dostatecznej ilości. Przyszły żniwa i sprzęt. Jak dzielić? Oto co ustalono i co obowiązuje do dziś: każda rodzina otrzymuje jednakową ilość pługów. Po omłocie i odesypaniu zboża do siewu i na potrzeby gospodarstwa wspólne — takie jak pasze treściwe dla koni i bydła, resztę podzieloną na 22 równe części, zsypuje się do śpichrza, skąd każda z rodzin dowolnie dysponuje przypadającym na nią przydziałem. Może to zboże sprzedać, może nim tuczyć świnie, kaczki, gęsi, czy dodatkowo dokarmiać krowy, które zresztą jednakowo i wystarczająco karmione są wspólną, specjalnie na ten cel przeznaczoną paszą.

Ustalono również, że każdą rodzinę obo-

wiązuje jednakowa ilość dni roboczych. W okresie mniejszego nasilenia robót pracuje jeden człowiek, a w żniwa, wykopki i nagłe roboty — dwóch. Jeśli w którejś z rodzin nie ma dwóch robotników, to musi wynająć ich skądinąd.

W obróbkę ziemi zatem i podziale wyprodukowanych płodów jednym kryterium jest wkład pracy.

To wspólne gospodarstwo odbudowywało się w szybkim tempie. Każdy z działkowców był właścicielem 1/2 konia, 2 krowy, dowolnej ilości drobiu i trzody chlewnej. W roku 1947 sprzątnęli: żyta 689 q, pszenicy 139 q, jęczmienia 70 q, owsa 389 q, ziemniaków 3000 q, buraków 782 q, co w przeliczeniu na rodzinę wynosi brutto 31,9 q żyta, 6 q pszenicy, 17 q owsa, 140 q ziemniaków, 355 q buraków, nie licząc drobniejszych zbóż, takich, jak proso, groch itp. Ziemia uprawiana była coraz lepiej, coraz staranniej. Urodzaje u sąsiadów — chłopów są wyraźnie słabsze (widać to i dziś), mimo, że gleba nie jest wcale gorsza (rzadki wypadek!). Odpowiedni płodozmian, szlachetne ziarno i sztuczne nawozy decydują o plonach.

Całe dzieje tej wspólnoty figurują w kolumnach cyfr u kierownika. Wszystko jest wyliczone, każda czynność oplaca się. Ziemia musi plonować, krowy dają mleko, każdy pracuje i każdy zarabia bez krzywdy innego. Perspektywa każdego następnego roku jest, rzecz jasna, coraz lepsza.

D. Gałaj
(„Wiś” Nr 38—39/48 r. „22 spadkobierców“).

SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI

Zadaniem naszej organizacji partyjnej jest na fali wielkiego poruszenia, które wywołały na wsi uchwały lipcowego plenum — nie szczędzić wysiłków, by budzić świadomość klasową biedoty i średnich chłopów, by izolować od reszty wsi wiejskich bogaczy i wyzyskiwaczy, rozbijając kłamliwą legendę o rzekomej jedności wsi. W tym celu trzeba, żeby partia, a w szczególności organizacje wiejskie i aktyw, dokładnie uświadomiły sobie, jak przebiega podział klasowy na wsi. Trzeba, aby pojęcie biednego, średniego chłopca i wyzyskiwacza wiejskiego, wiejskiego kapitalisty, stały się jasne. Jest to tym konieczniejsze, że bardzo często w tych sprawach w terenie panuje niezrozumienie i wielki zamęt pojęciowy.

„Nie ulega wątpliwości, że jeżeli potrafimy rozszerzyć działalność spółdzielni na nowe, ważne, nieobjęte dotychczas dziedziną, jak np. organizacja zbytu mięsa, że jeżeli potrafimy umasować spółdzielczość, uaktywnić jej masę członkowską, upowszechnić nadzór i kontrolę, to uczynimy wielki krok naprzód w dziedzinie uczynienia ze spółdzielni gmin.

nych potężnego instrumentu ograniczenia wyzysku kapitalistycznego, pomocy biednym i średnim chłopom i socjalistycznej przebudowy wsi.

„Chłop chce przede wszystkim, i ma na to prawo, wiedzieć dokładnie, jaśniej, jak będą wyglądały spółdzielnie produkcyjne. A po dowiedzeniu się będzie chciał, i ma na to prawo, dowiedzieć się, jak w praktyce one funkcjonują, jakie dają rezultaty, jakie przynoszą korzyści. Nasza Partia rzuciła w masę wiejską ideę spółdzielczości produkcyjnej i wskazała na nią jako na jedyną drogę wyjścia z wyzysku i nędzy i zasadniczej poprawy dobrobytu materialnego i poziomu kulturalnego wsi. Nasza Partia ma obowiązek teraz wyjaśnić bliżej, co rozumie przez spółdzielczość produkcyjną i odpowiedzieć na najważniejsze pytania, które nurtują masę chłopską.

H. Mine
(Z przemówienia na Plenum K. C. PPR „Bieżące zadania partii w zakresie polityki gospodarczej i społecznej na wsi“).



Z przeszłości
(Nadanie aktów ziemi z reformy rolnej)



W przyszłość
(szkoła chłopska w po obszarniczym pałacu)

Władysław Kuszyk

Przed Kongresem Związków Zawodowych

Zahartowany w bojach z sanacyjnym reżimem proletariat polski w okresie wojny i okupacji wyrósł do roli kierującej siły narodu i stanął na czele walki narodowo-wyzwoleńczej, grupując wokół siebie najszerze masy ludu pracującego miast i wsi zainteresowanego nie tylko w wywaleniu niezawisłości narodowej, ale i likwidacji systemu kapitalistycznego.

Pokonanie Niemiec hitlerowskich głównie przez ZSRR sprawiło, że rozwój ruchu rewolucyjnego napotkał na sprzyjające warunki wszędzie tam, gdzie Armia Czerwona uwolniła z jarzma faszystowskiego i niewoli milionowe masy ludu.

W takiej sytuacji rewolucyjne siły naszego narodu znalazły się w sprzyjających warunkach rozwoju i mimo działania na terenie kraju różnych reakcyjnych ugrupowań sanacyjno-burżuazyjnych, klasa robotnicza zdobyła przewagę nad reakcją, zajęła przodującą rolę w narodzie, przyjęła polityczne kierownictwo w kraju, przystąpiła do realizacji własnego państwa i przeobrażeń społecznych, w interesie najszerzych mas pracujących miast i wsi.

Inna z gruntu jest sytuacja ludu pracującego, kiedy polityczne kierownictwo w kraju jest w rękach burżuazji, a masy ludowe oddechnięte są od bezpośredniego wpływu na bieg wydarzeń politycznych, inna z gruntu jest sytuacja, kiedy masy ludowe, przechytując władzę polityczną w kraju, wyrzucają burżuazję poza burtę wydarzeń politycznych.

W tej sytuacji i w nowych warunkach historycznych odradzające się Zw. Zawodowe, jako powszechna organizacja pracujących, w przeciwieństwie do ich położenia w starym, kapitalistycznym ustroju, stały się organizacją powszechną klasy robotniczej.

Z organizacji klasy robotniczej, wrogo nastawionej do państwa kapitalistycznego, zmierzającej do zburzenia tego państwa, Zw. Zawodowe przekształciły się w organizację współbudującą państwo ludowe, odpowiadającą za rozwój i losy swego państwa.



Prezydium Kongresu Związków Zawodowych. Warszawa 1.6.1949.

Podstawowym zadaniem Związków Zawodowych od samego początku dokonujących się w Polsce rewolucji ludowo-demokratycznej, było włączenie najszerzych mas ludowych do biegu wydarzeń rewolucyjnych, odbudowy kraju i przebudowy ustroju gospodarczego.

Nie mogły tego zadania dokonać działające do czasu zjednoczenia dwie partie robotnicze w Polsce, a obecnie PZPR. Partie bowiem grupowały w swych szeregach najbardziej uświadomione, najbardziej wykształcone części klasy robotniczej.

Poza tą częścią zgrupowaną, w partii ro-

botniczej, istniała i istnieje ogromna, wielomilionowa masa pracujących, bezpartyjnych o różnych światopoglądach politycznych, obciążona często nieświadomością ideologiczną drobniomieszczańską.

Ta masa ludu pracującego nie mogła pozostać poza burtą dokonującej się rewolucji. Trzeba ją było do tego łożyska włączyć.

Dokonać rewolucji w interesie mas ludowych mogą tylko same masy ludowe.

To zadanie, włączenia do rewolucyjnego nurtu najszerzych mas wypełnić mogły i wypełniają Związki Zawodowe.

Związki Zawodowe są bezpartyjną, powszechną organizacją pracujących, grupującą w swych szeregach żyjących z najmu pracy bez różnicy wiary, pochodzenia, narodowości i partyjnej przynależności. Działając pod kierunkiem politycznym partii klasy robotniczej są najlepszym przewodnikiem politycznym wpływów partii do najgłębszych, bezpartyjnych dołów, mobilizując one bezpartyjne doły wielomilionowe do zadań, jakie partia stawia przed masami.

Wreszcie są one tą najbardziej odpowiedzialną organizacją masowego ruchu bezpartyjnych, gdzie codziennie, stale i bez przerwy, jak w kuźni, wykuwa się i podnosi na coraz wyższy poziom świadomość bezpartyjnych do poziomu partyjnego.

One wreszcie grupując w swych szeregach 3 i pół miliona pracujących, odebrały możliwość politycznego oddziaływania reakcji na wielomilionową rzeszę, i prowadzą walkę o całkowite wyizolowanie pozostałości reakcyjnych wpływów na masy. Są więc wielką szkołą demokratycznego myślenia - wychowania, są ogromną rezerwą, z której partia czerpie i powiększa swe szeregi.

Historyczna rola Zw. Zawodowych w nowych ludowo-demokratycznych warunkach przejawia się w kontroli społecznej, w dziedzinie produkcyjnej i dziedzinie kulturalno-oświatowej.

Wprowadza nowy, wyższy podział pracy, wyzwala nowe, w nieznanym dotychczas w Polsce stopniu, siły wytwórcze, zmienia stosunek robotnika do pracy.

Zaprowadza nowy sposób rozdziału dochodu społecznego w takim stopniu, w jakim klasy pracą własną ten dochód wytwarzają.

W tych warunkach w państwie ludowej demokracji rola i zadania Zw. Zawodowych nabrały ogromnego znaczenia, a sama organizacja Zw. Zawodowych stała się jedną z podstawowych sił społecznych, bez której nie można sobie wyobrazić rozwoju i istnienia państwa ludowego.

Franciszek Apryas

górnik, przodownik pracy kopalni „Brzeszcze”

Taka jest odpowiedź klasy robotniczej...

Pracowałem u pewnego bogatego chłopca z naszej wsi. Miałem lat jedenaście, gdy rozpocząłem swoje robocze życie. Początkowo pasłem krowy, pomagałem w oborze, byłem parobkiem do wszystkiego. Za to „bogacz” ten dawał mi kąta do spania i resztki ze stołu. Miał on kilka koni i zatrudniał zawsze kilku robotników najemnych. Zaczęli u nas wtedy budować drogę do kopalni — i bogacz ten zaczął zwracać uwagę na zarobek. Zaprzęgi konie do wozów (a miał ich parę), nas zaprzęgi do roboty i — hajda na stację, kamienie ładować. Ładowaliśmy te kamienie codziennie, nieraz bywało po parę wagonów. On zaś przechadzał się z fajką w gębie, spoglądając na opróżniające się wagony, ręce zacierał i nas do pracy przyganiał. Za tę pracę dostawałem u niego (i jako parobek i jako furman) 13 złotych miesięcznie, co stanowiło około 150 złotych, na rok.

Natomiast z jednego wagonu kamieni bogacz ten miał 60 złotych czystego zysku. Jeśli bywały 2 wagony, to 120 złotych. Dziennie. A my 150 złotych rocznie...

Pracowałem u niego przez sześć lat, aż do roku 1927. Za cały okres pracy u niego nie mogłem zarobić sobie na porządne ubranie, ani kupić pary dobrych butów. Zawsze chodziłem w łachmanach, nie dojadłem, nie dośpiłem a mowy już nie było o tym, żeby parę złotych zaoszczędzić. Ledwo mi to wystarczyło na życie wystarczało. Rzuciłem go więc w roku 1927 i uciekłem gdzieś indziej „szukać szczęścia”, gdzie indziej sprzedać znowu to co posiadałem — czyli swoje robocze ręce.

Ale nie tak łatwo było je wtedy sprzedać. W czasie mojej poprzedniej pracy poznałem kierownika robót przy szosie i poprosiłem go, aby przyjął mnie do pracy jako robotnika. Przyjął, ale tylko na okres letni. Latem więc pracowałem przy budowie drogi i zamiast cieszyć się, że będzie ona wkrótce skończona — serce mi zamierało, gdy widziałem, że szosa będzie wkrótce gotowa i że robota się kończy. Jesienią zwalniał mnie z pracy, a ja — na baldy zbierałem węgiel i bogatszym gospodarzom odprzedawałem. Masa wtedy było bezrobotnych, którzy na baldach zbierali węgiel. Nieraz dochodziło do bójek ze strażą kopalnianą, nieraz padły strzały, nieraz policja robiła obławę, areszty...

Kreśliłem się tak koło kopalni, zachodziłem czasem do izby zbrojnej, spotykałem się ze sztygarami. Długo trwały moje starania i namowy, musiałem ich błagać, prosić, pociągać się, wszystko po to, aby otrzymać pracę...

Otrzymałem ją wreszcie i wstąpiłem w roku 1928 do pracy na kopalni „BRZESZCZE”.

Ojciec mój, Stanisław, przechodził podobne koleje losu. Urodził się jako syn bezrolnego chłopca we wsi Wojnarowa, koło Grzybowy i dzieciństwo swoje spędził we dworze jako pastuch. Mając lat czternaście uciekł ze dworu i pojechał wraz z grupą starszych robotników do Morawskiej Ostrawy również — „szukać szczęścia”. Dostał robotę na kopalni i osiedla się w Przywoziu koło Ostrawy. Tam też i ja się urodziłem w roku 1909. Mając lat sześć chodziłem do Przemysłowej Szkoły w Przywoziu. Ukończyłem cztery klasy i przyjechałem wraz z rodzicami do kraju w 1919 r. Tu ojciec osiedla się w Brzeszc-

zczach i ja, mając 11 lat, zaczynam pracować jako pastuch... Ojca tymczasem wynajęto do wiercenia nowego szybu w pobliskiej kopalni i dzisiaj może on z dumą powiedzieć o sobie, że szyb jaszowski — to prawdziwe dzieło jego rąk.

Dostałem się więc i ja na kopalnię „Brzeszcze”, do której również należał i szyb w Jawiszowicach. Była to wtedy jedyna państwowa kopalnia węgla, gdyż wszystkie inne — jak wiadomo — stanowiły własność prywatnego, rodzinnego i obcego kapitału. Położona na dogodnym szlaku komunikacyjnym Kraków — Oświęcim — Zembrzydów, jako kopalnia „młoda”, bo założona dopiero w roku 1904 — miała ona w zasadzie piękne możliwości rozwojowe. Na przestrzeni 32 kilometrów kwadratowych rozciągają się tak zwane „badania górnicze”, czyli obszary ziemi, na której wybiera się węgiel. Pokłady dochodzą tam do głębokości 200 metrów, a jest tych pokładów aż 42, każdy o grub. 0,7—1,5 metra. Według obliczeń — zapasy węgla wynoszą około 550 milionów ton. Trzeba stwierdzić, że mała grubość pokładów wpływa bardzo niekorzystnie na warunki pracy, do czego również przyczynia się niski upad 7—9 stopni. Poza tym — co jest niemniej ważne — kopalnia należy do typu gazowych, obfituje w metan. Kopalnię przetrząsa pięć „uskoków” wodonośnych o dużym przypływie wody, która im dalej na wschód — tym bardziej wzrasta...

Zacząłem pracować jako wozak na ścianie w pokładzie IX. Ale niedługo trwała ta moja praca. Przed wyborami do Sejmu, gdy na kopalni płatni najemnicy sanacyjni i zdrajcy klasy robotniczej rozpętali szaloną agitację za głosowaniem na jedynek, odezwałem się raz w rozmowie niepoehlebie o antynarodowej, antyludowej polityce sanacji. Doszło do głośnej sprzeczki z innymi obecnymi — wtedy na sali i ja głośno wyraziłem swoje zdanie o tych wyborach.

— Takich jak ty, nam tu nie potrzeba — powiedział do mnie ówczesny dyrektor, gdy mnie zawezwał do siebie.

Tego dnia zostałem zwolniony, a ze mną razem zwolniono z pracy za „podburzające” mowy i antysanacyjne stanowisko kilku robotników, między innymi Szubrechtą, Orliką, Gajkę.

Wyrzucony na bruk, zostaje bezrobotnym. Udać mi się jakoś osiągnąć zasiłek z Funduszu Pracy, który ledwie wystarczy na jedzenie na trzy dni w tygodniu.

Rodzinną mieliśmy liczną. Jeden z braci moich pracował wtedy na kopalni i nie został jeszcze wyrzucony. U niego też znalazłem opiekę i rok bezrobocia udało mi się jakoś przeżyć przy jego pomocy. W roku 1930 dzięki staraniom mego brata i ojca wracam znowu na kopalnię, aby ciągle pracować jeszcze jako wozak, mimo że wykonywałem już inne roboty, wchodzące w zakres specjalizacji górnika kwalifikowanego.

Kopalnia „Brzeszcze” była kopalnią państwową, ale dla nas, górników nie było w tym żadnej różnicy, gdyż władza w państwie nie należała do nas. Zdolność produkcyjna kopalni była eksploatowana w minimalnej części, gdyż ówczesnym właścicielom nie zależało na większej ilości węgla. Bo i po co?

Większa ilość węgla oznaczała spadek cen na węgiel, dlatego starali się zmniejszyć produkcję, aby osiągnąć wyższe ceny. Dlatego też zatapiano kopalnię, ogłaszano turnusy, zamykano nawet niektóre kopalnie na czas nieokreślony, a ludzi wyrzucano na bruk. Kopalnia „Brzeszcze” również pracowała tylko 12—14 dni w miesiącu, a pozostałe dni była nieczynna. Codziennie, wychodząc z kopalni, nie byliśmy pewni, czy jutro będzie praca... Przy wejściu do gmachu wisiała stale czarna tablica, która od czasu do czasu oblegana była przez robotników: „JUTRO Z POWODU BRAKU ZBYTU WĘGLA KOPALNIA NIECZYNNA”.

Głodowe płace nie wystarczyły nawet na najskromniejsze utrzymanie. Otrzymywałem wtedy po 3—4 złote dziennie, co przy pracy 14-dniowej w miesiącu czyniło niecałych 60 złotych miesięcznie. Los mój zależał od woli mi się dyrektora, który, jeśli ktoś mu się nie spodobał, natychmiast wyrzucał z pracy.

Na kopalni wybuchł strajk okupacyjny. Górnicy zjeżdżają na dół i nie wychodzą na powierzchnię, póki nie otrzymają podwyżki płac...

Ja również zjeżdżam na dół i siedzę tam przez całe sześć tygodni.

Wyglądaliśmy i zmęczeni do granic wytrzymałości wyjeżdżamy po sześciu tygodniach strajku na wierzch. Dyrekcja obiecuje podwyżkę pod warunkiem rozpoczęcia pracy.

Po paru dniach pracy na czarnej tablicy wywiesza się ogłoszenie. Zarząd kopalni w porozumieniu z ówczesnym Ministerstwem Przemysłu i Handlu w Warszawie zdecydował się wobec braku zbytu węgla obniżyć płacę o 13 proc. wszystkim robotnikom i nie wypłacać odszkodowania za czas strajku.

Oto co kryło się za szyldem państwowej kopalni „Brzeszcze”.

Pracuję tam do roku 1933, w którym zostałem powołany do wojska. Z powodu naderwania ściegna spowodowanego pracą na dole, po paru miesiącach pobytu w wojsku zwalniam mnie do rezerwy.

Chciałem wtedy wrócić znowu do kopalni, ale dyrekcja odmówiła przyjęcia. I tak, powiadają, mamy z tobą dużo kłopotu, robotników buntujesz, do tego sam jeszcze niebardzo zdany jesteś do pracy. Idź sobie, gdzie chcesz.

(Ciąg dalszy na str. 13)



Tadeusz Krępowiecki

NARODOWOŚĆ

POSTĘP.

ARNUSZ SZOSTY. ODDZIAŁ PIERWSZY

Proszurek.

Kwestia o narodowości jest dosyć ważną, dosyć interesującą, dlatego chcemy ją traktować ile można obszernie, aby zwrócić więcej uwagi na przedmiot o którym już tylu rozprawiali, a który dotąd jeszcze prawie zupełnie jest nowy. Żeby dyskutować z największą bezstronnością, przypuściliśmy do dyskusji zdania i sposoby widzenia niekiedy całkiem z naszymi harmonizujące; chcieliśmy przeto dać dowód, że pragniemy wyswiecić rzecz gruntownie, pod różnym wykazując światłem z różnych przyczyn, że się stanowią, aby zapewnić sąd niejednostronny. Do artykułu poprzednich arkuszy dodajemy jeszcze artykuł Ob. T. Krępowieckiego, zastrzegając zarazem, że potem dopiero objawimy myśl naszą o narodowości, i wykażemy jak pojmujemy.

Strona „Postępu”

Zginecie, jeśli zapomnicie, że
owoce ziemi są dla wszystkich,
ziemia dla nikogo.

J. J. Rousseau

Dzieje ludów nie były pisane przez ich przyjaciół. Wielu było historyków, lecz jakie z nich wyciągamy przekonanie? Oto objawiają nienawiść swoją do ludów, lub obojętność. Są to opowiadania o królach, kościele, znakomitych. Na tym stojąc stanowisku, ruchy ludu nazywają bunt, a wielkie charaktery przewodzące ruchom — ambicją. Ludzkość z ich historii żadnej nauki wydobyć nie mogła; owszem, fałszywą.

Czemu nie było historyków ludu? Bo myśl, która pociągała ludzi do zawiązania społeczeństw, została zatraczona, bo warunki socjalności (społeczności) zostały pogwałcone, bo zgubiono wyobrażenia zasady społecznej. Co nastąpiło jako skutek, wzięto za przyczynę; co wynikało z ciemnoty jednych i przebiegłości innych, wypadek niewoli i gwałtu, uważano za USTAWĘ (podkr. Krępowieckiego), za rzecz ŚWIĘTĄ i nazwano porządkiem społecznym. Stosownie więc do tych wykrzywionych pojęć, oceniano fakty, nazywając zbrodnią, co było cnotą i odwrotnie.

Dotąd istniejąca społeczność jest anarchią, którą monarchowie ze swoją arystokracją w krajach despotycznych, a królowie z kastą pieniężną w krajach konstytucyjnych nazywają porządkiem. Lecz porządek społeczny jest harmonią między pojedynczymi a całością. Tymczasem jedna część wyłącza drugą. Jest to porządek w matni pajaków. Brzecznie nie uwikłanej muchy jest zbrodnią przeciw spokojności w pałęczyźnie zaprowadzonej.

Powiadają, że Rzym zginał przez zepsucie obyczajów i zbytki. To podrzędna przyczyna, to skutek innej przyczyny. Dajcie wszystkim chleba, a nie będzie zepsucia obyczajów i zbytków. Czemuż to nastąpiło? Bo nie było w Rzymie równości, bo społeczność składała się z dwóch żywiołów, z pracujących i ekspluatujących, z tych, których zwano PŁODO-DAWCAMI (proletari) i znakomitych (insignes); pierwszy był pastwą drugich. Wszelkie zdobycze na nieprzyjaciół w ich ręce szły. W miarę wzrastania ich bogactw, wzrastała niedza tamtych. Było to zupełnie, jak dziś w Europie. Lud czynił usiłowania dla wydobycia się z tego stanu, dla zbliżenia cząstek społecznych do równowagi; przedsięwzięcia Gracchów byłyby Rzym ocaliły. Rzym upadł z Gracchami.

Wszelka społeczność, gdzie nie ma tej równowagi, skończy na despotyzmie, lub zostanie zawojowana. Taki jest ciągły portret narodów. Despota jest to zrenny nieprzyjaciół, który z walki dwóch stronnictw społecznych korzystał umiał. Lud gnębiony od egoistów rzuca się w opiekę jednego, który niby interesu jego broni. Tak zrobił Cezar, tak zrobił Napoleon.

Naród, którego wszystkie cząstki nie są związane, zcentralizowane wspólnym interesem, zawsze jest łatwy do zawojowania. Miliony Persów pobila garstka Greków. Kilku set milionów Chiny wpadły w ręce kilku tysięcy Tatarów. Kilkunasto — milionowa Polska poszła pod panowanie kilkudziesięciu tysięcy Moskali.

Nie wiem, jak można nazwać taki stan społeczny, gdzie cząstka mała trzymająca całość w jarzmie, wiąże się z sobą potrzebą zapobieżenia, aby trzeci nie korzystał z tego stanu wojny, jaka między nią a uciśnionym przez nią zachodzi; taki stan był w Polsce.

Jest to stan anarchiczny, jest to brak centralizacji, czyli siły, która by nie dozwoliła stronnictwom, czyli kastom, zgnieć całość, czyli lud, jest to niedostatek siły narodowej. Można centralizację nazwać siłą lub dźwignią narodową. W Polsce nie było tej centralizacji. To potwarz! krzykną i powiedzą, on zaprze-

cza narodowości. Nie. Jest to pojąć interes Polski, jest to chcieć zatrutemu życie powrócić, zubożniającą truciznę, która mu biele krwi przerwała.

Ta trucizna była szlachta, właściciele, oligarchia, egości; mniejsza o nazwisko, to są synonimy. Ci ludzie po swojemu pojmują narodowość. Podług nich narodowość stanowi religia, instytucje, ustawy, obyczaje, zwyczaje. Obyczaj i zwyczaj jest wypadkiem religii, instytucji, ustaw, klimatu, miejscowości; religia, instytucje, ustawy są główną rzeczą. Więc podług tych Panów religia, która każe bić czołem przed władzą, nie wchodząc, jaka to jest władza, która stwarza nową kastę zwaną duchowieństwem, którego centralizacja nie spoczywa w narodzie, lecz się odnosi do zagranicznego biskupa, jest narodowością. Instytucja niedozwalająca nieszlacheckie posiadanie własności, jest narodowością. Prawo posiadania ludzi na własność jest narodowością. Taka to właśnie narodowość zabiła Polskę. Jest to negacja narodowości.

Szkoda, że Polska nie miała króla, któryby despotyczną władzą był ogarnął, byłaby to trucizna zabijająca jad, który toczył polityczną jej ciało: można byłoby tę truciznę zoberać.

Kiedy ludu północne zniszczyły system polityczny Europy usadowiony na egoizmie rzymskim, zwycięzcy podzielił się krajami i wprowadzili egoizm na większą skalę. Dowodzą wzięli dla siebie kawały ziemi, wyżsi nad nimi zwierchnictwo (suzerainetę) wódz naczelny nad wszystkimi. Stąd powstał system rządu feudalny. Naczelnik wszystkich podrzędnych dowódców widząc, iż chcą mu we władzy sprostać, podał rękę poddanym, aby nawzajem ich z władzy wyzwać. System feudalny zniknął przed despotyzmem jedynego, pociągawszy za sobą mniej więcej, usamowienie ludu, osobiście w miastach. Stworzono wielkie kraje, wielkie narodowości.

Rzućmy okiem na Francję. Jest tu mieszanina różnych ludów: Gallów, Franków, Gotów, Basków, Włochów, Bretończyków, Normanów, Burgundów. Wszyscy zwa się Francuzami, wszyscy mają jedną narodowość. Nie jeden w prowincjach Alzacji i Lotaringii nie umiejący po francusku nazywa się Francuzem, nie chce się Niemcem nazywać; bo wszyscy mają wspólny interes, bo są wolniejsi od swych sąsiadów Niemców, bo ich jedna myśl społeczna wspólnego zachowania i siły sprzeczna. Francja, z takim systemem społecznym, jaki był w Polsce, zostałaby niechybnie rozebrana.

Uzurpacja władzy szlachty i nie zezrodkowania ich interesu, utrzymały ten potworny system polityczny, który nazywam NIERZĄDEM. A więc w narodzie był instynkt złego istnienia, a jednak nie znalazł się żaden, coby władzę oligarchii ukrócił. Nie znalazł się ani Ludwik jedenasty, ani Richelieu ani Pombal.

§ 1.

Początek szlachty właścicieli w Polsce nie bardzo był świetny. Nie była to rycerska gromada, która kraj podbiła. Byli to prości przywłaszczyciele, lub tacy, którym król dawał ziemie w nagrodę, tak za rzeczywiste dla kraju przysługi, jak przysługi dla siebie. Wszakże był to duch przywłaszczycieli. Powaga ich wzrastała z niedoleżnością lub niedbałością królów, na których jako stan w stanie, wy-targowali przywileje. Przywilej jest to zbrodnia na korzyść pojedynczego ze szkoda społeczeństwa spełniona. Któż dziś utrzymywać będzie, że można nadawać własność. Własność są tylko nasze siły. Własność nie wpływa z natury, ale z umów społecznych. Umowy są wypływem panujących, własność można zmodyfikować, a nawet wydrzeć, jeśli własność szkodzi Ogółowi, jeśli taka jest wola Ogółu. Ale wróćmy do centralizacji.

Oddani ludzie na własność, przestali być ludźmi. Ich stosunki społeczne zcentralizowały się na dworze pańskim. Pan, jeśli nie ze skłonności to z instynktu musiał być tyranem. Tak jak król, najlepszy człowiek, konieczny zły być musi. Zło leży w instytucji. Tak więc chłopko, do stanu bydlęcia doprowadzony, nie mógł pojmować ojczyzny, bo jej nie miał. Dla niego nie było narodowości.

We Francji naliczyliśmy osiem ludów znacjonalizowanych w jeden. W Polsce było ich pięć: Polski z Ruskim, kiedy ich religia i literatura nie oddzielały, w bardzo bliskim był powinowactwie. Pierwotny język lechicki prawie był taki, jak ruski. Jakaż była łatwość tworzenia jednej, wielkiej narodowości. Potrzeba było tylko uznać obywatela. To dobroczynny środek narodowego zlewać opiekę nad całością, zaprowadzić jedne szkoły. Tym sposobem stworzyłby się jeden lud, jeden dialekt, jedna literatura.

Dziwią się, czemu szlachta była tak zadowolona z władzy królewskiej. Bo ta władza, aby się stała silną przeciw szlachcie, musiała oprzeć się na interesie ludu, których ona ścisła. Można powiedzieć, że szlachta była republikancka nie przez cnotę, ale egoizm. Więc ten egoizm zamordował Polskę, bo zniweczył jej siły, bo zoberał kilkanaście milionów ludu do uczucia patriotycznego; bo nie chciał, aby lud miał to uczucie.

A jednak objawiły się symptomy zapowiadające potrzebę nowych instytucji. Lud dał znak niecierpliwości. Zamiast wysłuchać głosu uciśnionych i zająć w przepaść, która dłuższy ucisk dla każdego kraju gotowała, posłano oprawców do ziem ruskich.

Kiedy się miara cierpienia zbierze, kiedy wołanie o sprawiedliwość nazywają bunt, bunt jest dla uciśnionego powinnością. Tak się stało na Rusi, gdzie tyrania doszła do najwyższego stopnia, gdzie były pamiętki dawnych swobód, gdzie nienawisć tym była większa, że zadowolona szlachta odróżniała się od ludu dialektem i poniewierala jego religię.

O ślepotę polityczną! jedno nie przywiązałyby tę krajinę do interesu Ojczyzny matki. Ale ciemna szlachta nie nad dumę swoją nie widziała wyższego. Duma trzyma się zawsze ślepoty.

I władcy ruski nie mógł zasłać w senacie, gdzie rzymscy biskupi siedzieli. Nie mógł nawet dzielić czegoś przywileju zaspokoje. nia próżności. Tym sposobem zniechęcono po- tężnie duchowieństwo ruskie.

Gdyby było cokolwiek geniuszu w głowie Jana Kazimierza, byłby stanął na czele zbuntowanego chłopstwa. Wyborna była pora zwaleni oligarchicznego ciała. Wsparty tą siłą zwiększyłby władzę swoją obracając ją na korzyść masy, ukrócając zuchwałość wysyszców. Pora reformy społecznej była stanowcza. Polska dziś by jeszcze istniała. Lud, nieprowadzony reformacyjną myślą, popełniał tylko rzezie. Bo lud w gniewie swoim nie zna miary. Ale i w tym jest wina kasty. Po co ludowi mecenaską tylko pracę i ciemnotę zostawia w podziale. Ludowi należy się być dobry i oświata. Cierpieniem zniekany, ciemnotą wiedziony, nidera ślepo na to wszystko, co nim nie jest, wszystko radby w jedne gruzi zamienić, siadłszy na nich zawołać: I ja tak też istnieć i ja mam prawo do życia!

I dziś znajdują się ludzie, co dawne czasy chwala, co nam o katolicyzmie prawią. Czy oni widzą w nim rękojmię dochowania przeszłości? Mieliby tak być niebaczni na interes ojczyzny, aby chcieli uwiecznić to, co było początkiem choroby społecznej, co nas na łup anarchii, a potem na łup trzech despotów oddało? Chęć oni na wieki zrobić rozbrat z bracią wyznania greckiego? Trzebaż im Jezuitów, Żydów i szlachtę, aby krew ludu ukraińskiego pili?

Szlachta używając wszelkich ziemskich rozkoszy, wzięwszy na siebie gwarancję niepodległości Polski, jak odpowiadała powołaniu swemu widzieliśmy. Ona nawet warunkowi istnienia swego nie odpowiadała. Nie zawsze śpieszyła się na koni. Na wojnę kłosaż przeciw małemu książętku zebrała się w sto pięćdziesiąt tysięcy. I to było jej ostatnie wysilenie. Na wojnę przeciw Moskalom i Szwedom nie bardzo były liczne jej hufce. Musiano werbować wojska węgierskie i niemieckie. A nieprzyjaciół po kraju grasowali, a ona na to albo obojętnie patrzyła, albo się z tym lub owym łączyła. I to się zowie czuwaniem nad niepodległością kraju.

Nie miała żadnych pojęć politycznych. Zamiast znarodowienia Kurlandii, Inflant, Prus, wołała pisać się z odbieranego hołdu od książąt. Zamiast zcentralizowania krajów,

które się same oddawały, wołała dawać inwestyturę. A prosty rozsadek mówi, że hołdownik nigdy hołdu z serca nie składa, że w nim tleje nienawisć, że za sposobnością mści się za poniżenie. Nie wiedziała, uboga w duchu, że niebezpieczna jest mieć państwo w państwie, że to zawsze się przeciw wielkiemu obraża. Drobny krak Tłaskalanów zamknięty w meksykańskim cesarstwie, stał się jego upadku przyczyną. Polska pod rządem szlachty wykarmiła w łonie swoim węży zwanego Prusakiem.

§ 2.

Tymczasem wokół zdecentralizowanej Polski wszystko nową postać przybierało. Austria do jednych coraz nowe przyswajala ludy. Jej system centralizacji oparł się na uciemnieniu ludów, które zagarniała, na ściąganiu do dworu magnatów. Szlachcie zamieniuszy w niemiecką, posłała urzędników Niemców po wsiach, aby brali stronę ludu przeciw właścicielom.

Królowie pruscy wydoskonalili system wojskowy i w wojsku niemal zcentralizowali naród. Zawsze jednak rozciągał opiekę swoją do ludu wiejskiego.

Carowie mekiewscy po azjatycku postąpili z bojarami. Spalili im dyplomę, stworzyli wojsko stałe i zrennie przez religię zcentralizowali władzę w swym ręku.

W Polsce próbowano ukrócenia szlacheckiej dumy, ale tylko dumy, nie przewagi społecznej. Jan Zamojski kazał uciąć głowę potężnemu Samuelowi Zborowskiemu i na tym skończyła się cała wyprawa. Był to akt zemsty osobistej Zamojskiego, którego, nie wiem dlaczego, wielkim rebią człowiekiem. Stał on w obronie drobnej szlachty, z której wyszedł, przeciwko wielkiej, która krzywym cieniem na niego patrzyła.

Władysław czwarty chciał stworzyć wojsko i stronników dla siebie przez rozdawanie orderu Św. Ducha. Miał znowy z Chmielnikiem i chciał, widząc, oprzeć się na Kozakach. Śmierć przerwała jego plany.

Andrzej Zamojski myślał o radykalnej reformie. Wypracował projekt usamowienia chłopków, za co szlachta ledwo go podjąć nie oddała jako zdradę kraju. Sejm czteroletni wziął się do Konstytucji 3-go Maja. Nigdy ta konstytucja nie była zdolna ratowania upadłej budowy. Szlachta w niej ani na jotę uzurpacji swojej rzecze się nie chciała; chłopom ani na jotę nie polepszonego bytu.

Pisarze sołłisi szermierzują, aby tę konstytucję pod niebiosa wynieść. Rachują, jak w przeciągu lat pewnych, pewna liczba nowej szlachty przybyłaby do grona dawnej; jak w przeciągu mnóstwa wieków cały naród zostałby szlachcicem. Oni szczydą z prostoty czytających i w nich się ukrywa zachowawcza myśl przeszłego stanu rzeczy.

Ona wzmocniła władzę królewską, powia-

Witold Łukaszewicz

GŁOS CHŁOPSKIEGO SO

29

lipca 1834 r. ukazał się w niepozornym organie lewicowego odłamu emigracji polskiej we Francji — „Postępie” — artykuł Tadeusza Krępowieckiego pt. „Narodowość (Centralizacja)”, który wywołał ożywioną dyskusję ideologiczną między rzecznikami jak najszerzej demokracji i zwolennikami tradycyjnego porządku społecznego opartego na nierówności stanowej. Krępowiecki poddał w swym artykule druzgocącej krytyce całą polską przeszłość szlachecką obciążając ją odpowiedzialnością za ucisk społeczny, narodowościowy, religijny i za upadek ojczyzny, oraz sformułował w ogólnym zarysie zasady, na których winna uorganizować się przyszła Polska, Polska Ludowa, Zasady Krępowieckiego mają wyraźny wydźwięk socjalistyczny. Jest to jednakże socjalizm bez podbudowy naukowej — utopijny, usiłujący dostosować się do ówczesnych stosunków społeczno-gospodarczych na ziemiach polskich — ma więc charakter chłopski.

Nie trudno w nim doszukać się wpływu pewnych elementów z wypowiedzi J. J. Rousseau, z doktryn Babeuf'a i Saint-Simona. Nie pomniejsza to wszakże w niczym zasługi Krępowieckiego jako szermierza postępu społecznego wśród emigracyjnej szlachetczyzny. On pierwszy rzucił wobec niej śmiało hasło: „Wszystko dla Ludu przez Lud!”, które stało się sztandarem bojowym Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i żołnierskiej Gromady „Grudzią” Ludu Polskiego w Portsmouth oraz Gromad afiliowanych. Artykuł Krępowieckiego, nadesłany z Londynu redakcji „Postępu”, wyprzedził o rok z górą słynny manifest Gromady „Grudzią” z 30 października 1835 r., stając się dla niego wzorcem.

Żądanie dla Polski „dyktatorskiego ciała i dyktatury myśli”, które sprowadziłoby „centralizację ludu polskiego”, czyli wszechwładztwo ludu, zniosły indywidualne władanie ziem i jej płodami, położyły kres wyzyskowi człowieka przez człowieka, wreszcie podnieśli pracę do podstawowego obowiązku człowieka — oto najistotniejsze czynniki artykułu Krępowieckiego. Ma on i dziś jeszcze wiele akcentów zasługujących nie tylko na

uwagę historyka. 115 lat nie zatario piękna i głębi myśli artykułu Krępowieckiego. W dniu Święta Ludowego uważamy za konieczne wspomnieć o Krępowieckim, najbardziej bojowym na emigracji obrońcy chłopstwa polskiego i jego praw do suwerennego bytu.

NOTA BIOGRAFICZNA O TADEUSZU KRĘPOWIECKIM (1798 — 1847)

Syn mieszczański z Ujazdowa pod Warszawą, w r. 1818 wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego. Za sprawą Wiktora Heilmanna wszedł jako członek założyciel do tajnego związku rewolucyjno-republikańskiego w lecie 1819 r. Po rozwiązaniu związku był wychowawcą dzieci gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. W r. 1822 redagował pismo społeczno-literackie pt. „Dziennik Nadwiślański”, w którym zwalczał szowinizm i nienawiść wyznaniową. W specjalnych artykułach zajmował się obyczajami ludu rosyjskiego. Powstanie listopadowe zastało Krępowieckiego w Warszawie w szeregach konspiracji niepodległościowej. Krępowiecki dał się poznać jako świetny agitator-rewolucjonista. Wraz z J. Lelewelem i księdzem-jakobinem Kazimierzem Aleksandrem Pułaskim należał do Komitetu Organizacyjnego Towarzystwa Patriotycznego, później pełnił w nim obowiązki sekretarza, wreszcie wiceprezesa. Był jednym z najczynniejszych członków T.w. Krytykował nieudolność naczelnego dowództwa, żądał powołania pod broń chłopów, zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia. Był bezlitosny w tępieniu i demaskowaniu szlachecko-magnackiej kontrrewolucji. W lutym 1831 r. zgłosił się jako ochotnik do korpusu gen. Dwernickiego, odznaczył się szczytnie pod Stoczkiem i Borzemlem. Po wejściu korpusu do zaboru austriackiego uciekł z obozu do internownych i zjawił się w Warszawie, podejmując gwałtowny atak w prasie na gen. Skrzyneckiego. Kilka Cartoryskiego i Skrzyneckiego chcąc się pozbyć Krępowieckiego z Warszawy sprawiła, że przydzielono go do korpusu gen. Samuela Różyckiego, który się udawał wówczas na Litwę. Krępowiecki zareagował na to dymisją. Oskarżono go wówczas o dezercję i stawiono przed sąd wojenny, który

(Centralizacja)*

dają. Na cóż się to przydało. Chciano przy- czyny bez skutku. Wzmocnienie władzy kró- lewskiej nie powinno było być celem, ale środkiem. Środkiem do podżenienia przeważ- nej kasty, której interes sprzeciwiał się in- teresowi ogółu. Zachowawszy tę przewagę i dawszy większą władzę królowi przyda- liście jedną złą więcej do złych instytucji krajowych. Nie w veto, nie w elekcji była gangrena. Była ona w uśmiercanych masach ludu.

Ale Konstytucja 3-go Maja przypuściła stan miejski do politycznych prerogatyw. To sztyderstwo. Skoro gadacie o STANACH, budujecie na piasku, nie macie pojęcia idei społecznej. Nie w stanie miejskim spoczywa siła narodu. Owszem, biada krajowi gdzie on przewagę weźmie. Jest rodzaj amfibii. U nie- go centralizacja jest w banku, ojezyzna w do- mu, chwala w szkacie. Kasta miejska tym się różni od kasty szlacheckiej w dzisiej- szym stanie Europy, że ta ludowi każe na siebie w ziemi, tamta w warsztatach pra- cować.

Konstytucja 3-go Maja, gdyby była dana za Zygmunta, nie byłaby uratowała kraju. Owszem zniszczyłaby narodowość, nawet złe pojmovana, narodowość szlachecką. Bo skoro w miarę posiadania grosza uszlachala indy- widua, wprowadziła by w końcu arystokrację pieniężną. I gdyby naród istniał, istniałby tak jak dziś Francja, w której jeśli się nie rozwinie żywioł republikański, jeśli się nie zmodyfikuje tak nazwana WŁASNOŚĆ, jeśli się nie zetrą różnice polityczne i nie spro- wadzą wszystkie do jednolitości, albo Francja pójdzie pod despotyzm, albo zostanie zawo- jowana. Kościuszko uznał chromość tej kon- stytucji: kazał zmasać tę bagraninę. Ogłosił rewolucję narodową, to jest chłopską; na od- głos jej najeżyły się kosy. I były zwycięstwa pod Racławicami, Zieleńcami, chociaż już Polska była rozebrana, chociaż Kościuszko nie zniósł zupełnie pańszczyzny.

W roku 1830 było powstanie w Polsce; in- surekcja, jak je kazano nazywać. W roku 1794 była rewolucja. Piękny zrobiono postęp, postęp raka. I Panów rada zasiadła i zjawili się karły co Napoleona naśladować chcieli. Napoleon wyszedł z rewolucji, z nią zwy- ciężył, zwyciężał w imię wyzwolenia ludu, upadł skoro przeciwko niej poszedł.

Upadłszy brakiem centralizacji, Polska przez centralizację tylko powstać może. Cen- tralizacja ta nastąpi w imię usamowolnienia umysłowego, moralnego i materialnego pol- skiego ludu; w imię idei powszechnej bra- terności.

Inne czasy, inne opinie. Były wieki, kiedy oile od złego ratować musiało, kiedy interes osobisty królów wspierał najliczniejsze ogni- wo społecznego łańcucha przeciw uciskowi o- ligarchów. Nieczysty pierwiastek nie mógł czystych wydać rezultatów. Straciwszy nie- podległość, baronowie poszli podpierać słupy tronu, który ich upokorzył i w zbytku po- dłości szukali zabezpieczenia tej supremacji



„Na próżno kazaliście nas zabić”. Litografia Daumiera w ostatnim numerze „La Caricature” z roku 1835

NAD LUDĘM PRACUJĄCYM, którą im kró- lowie zostawili racyli. Jest to dzisiejszy stan społeczny. I królowie, co wprzódy rywalów swej władzy w panach widzieli, dziś tychże panów używają dla zabezpieczenia swej su- premacji nad mnogimi pokoleniami. Jest to tak nazwana równowaga stanów. Jest to ulu- biona doktrynerów melodia. Panowie polscy po stracie godności wojowników, kasztelanów, podkomorzich itd. racyli łaskawie przyjął od morderców Polski tytuły hrabiów, baro- nów. Ludowi został płacz i dawny ucisk w podzielu.

W średnich wiekach lud łączył się z króla- mi przeciw możnowładcom, dziś z obydwoma będzie miał do czynienia. Silną swą maczu- gą zgniecie pigmejów i zedrze z czoła kró- lów, książąt i hrabiów te korony, te mitry, te czapki feudalne, na które człowiek, poj- mujący rzetelną godność, ze wzgardą po- gląda.

Lecz, aby reforma była skuteczną, spra- wiedliwość zupełną, zajrzy do księgi prawdy, w której wyczyta: IŻ Z PRACY SWOJEJ NIKOMU, TYLKO OGÓŁOWI CZĄSTKĘ NA POTRZEBY OGÓŁU ODDAWAĆ POWI- NIEN. I zdepcie tak nazwane kodeksy, hipo- teki i inne uzurpacje imieniem prawa odzia- ne.

A to pogwałcenie własności, a to znieważe- nie ustawy, a to wojna domowa! Własność!

a kto ją za taką uznał? Wy co posiadacie. Ustawy! a kto ją napisał? Wy, którym ona korzyści przynosi. Wojna domowa! a kto ją wypowie? Wy, co chcecie lud eksploatować. Nie! to powrót do sprawiedliwości, bo czło- wiek nie może być własnością; to wola lu- du, która sama jest tylko ustawą; to nie wojna domowa, ale kara na tych, co się prze- ciw tej woli zbuntują.

Ten język zrozumie każdy mieszkaniec od Dniepru do Warty, od Bałtyku do Dniepru. I skupi się pod proporcje białego orla i imie- nia Polaka i niepodległości Polski bronić be- dzie od miecza tego anioła zniszczenia, co w lodowatych murach zamknięty, mnożąc ludy depece, i jako szatan przeciw Wszech- mocnemu zbuntowany, niebu i ludzkości blu- żni, i chciałby świat nocną pomroka osłonić.

Wy, co tym prawdom republikańskim prze- ciwni, w tych co je głoszą widziecie ambicję i własne korzyści, gdybyście sami przejrzeć chcieli, poznalibyście, że wasz egoizm, wa- sze stare pojęcia, wasze wsteczne myśli, mi- mo waszej woli, czynią was sprzymierzeńca- mi Mikołaja.

Ale są między wami chytre obłudniki, któ- rzy niby chcą polepszenia stanu ludu, a środ- ki, jakie podają, są owszem zachowawczymi dawnymi gwałtów i bezprawia. Chcą oni po- lepszeń stopniowych, legalnych, w konce- sjach, w czasie. Dziękujemy za ich dobre chęci i gdyby lud polski miał się ŁASKI do- praszać, przystalibyśmy na koncesje legalne, w czasie. Nauczyci doświadczenia czym są koncesje. Nigdy lud żaden nie oswobodził się przez nie. Dobrze wam je doradzać, wam co UŻYWACIE; lecz ten co cierpi chronić- nie, toniecznego potrzebuje lekarstwa.

W imię czego powołacie lud do broni dla zrzucenia Mikołajskiej tyranii? W imię wa- szych prerogatyw? Szaleństwo. Jużście tego tyle razy próbowali, jużście dla nich tyle krwi ludu przelali, że ciężka na waszych głowach spoczywa odpowiedzialność, bo ani dla siebie, ani dla niego nie nie zdobyliście. Centralizacja ludu polskiego leży w jednej idei — WSZECHWŁADZTWO LUDU. Kon- sekwenecje tej idei są: nie ma niewoli, każdy ma prawo rozwijać swe umysłowe, moralne i fizyczne zdolności; każdy jest częścią wszechwładcy.

Do wykonania tej idei, którą sam lud nie pojmuje, centralizacja nie wypłyne z dołu, ani wypłyne z tak nazwanej reprezentacji. Przy- wykły do niewoli, po zerwaniu pętów lud po- dobny jest do ślepego, któremu raptem wzrok przywrócono. Lud nie mógłby przez swój wy- bór stworzyć takiego prawodawczego ciała, lub do centralnej władzy takich powołać, którzyby wyszyły jedną myśl społeczną po- jąć i ją wykonać mogli.

Przyszłość jest przed wzrokiem śmiertel- nego zakryta. Ale dla Polski trzeba dykta- torskiego ciała, dyktatury myśli. A ta za- tarłaby nazwisko Litwina, Zmudzina, Rusina, bo to myśli nieszcześliwa dzielić się na pro- wince. Ci co zakładają towarzystwa litew- skie, ruskie, powiadają, iż to czynią, aby przeciw Moskwie protestowali jako ci, którzy się z Polską polaczyli. Kiedyż Europa potrze- bowała widzieć, że Litwa i Ruś złączyły się z Polską? Europa nie pojmuje inaczej Pol- ski, jak w dawnym sprzed 1772 roku grani- cach; protestować przeciw Mikołajowi na tak małą skalę, jest to chcieć staczać drobne u- tarczki, kiedy wielkiej bitwy potrzeba.

W czasach rewolucyjnych wznawiać przy- pomnienia feudalnych transakcji, jest grze- szyć przeciw jednolitości i całości kraju. Grzech taki jest zbrodnia majestatu ludu, osłabia centralizację, nadwyręża działanie. Jest coś z systemu federacyjnego, tak zgnębny w akcji. Duchem jego jest prowincjonalizm, egoizm terytorialny.

W obliczu rewolucji duch prowincjonaliz- mu jest sztandarem buntu i schizmy.

*) „Postęp”. Bibl. Nar. Arch. 2446/II Nr z dn. 29 lipca 1834 i następny str. 81—83 i 97—102.

Taka jest odpowiedź klasy robotniczej

(Dokończenie ze str. 11)

Ale nie miałem dokąd iść. Udało mi się po pewnym czasie znów dostać pracę w kopalni i pracowałem tam do roku 1939 jako wozak, później ładowacz.

Wybuchła wojna. Po paru dniach Brzeszcze zostają zajęte przez Niemców i kopalnię prze- chodzą we władanie niemieckiego koncernu węglowego. Zaczyna się straszna niewolnicza eksploatacja. Pracuję dalej na ścianie, po 18 godzin na dobę pod przymusem i ciągłą grozą widniejących z daleka kominów poło- żonego w pobliżu obozu śmierci Oświęcimia.

Na kopalni pracuje wielu jeńców wojen- nych i więźniów obozu oświęcimskiego. Pra- cując często razem na jednej ścianie, dzie- liłem się z nimi ostatnim kawałkiem chleba i podtrzymywałem ich na duchu. Przenosiłem niekiedy listy i grypsy do ich rodzin, by- tem jak gdyby łącznikiem między nimi a światem żyjącym w niewoli poza drutami.

W styczniu 1945 r., pod naporem miążdża- cego uderzenia bohaterstwa Czerwonej Armii Niemcy zaczynają się wycofywać z naszych terenów. Niemcy uciekli w nocy, pozabierali co cenniejsze rzeczy, a kopalnię rzucili na pastwę losu...

Nazajutrz, gdy Niemcy uciekli, razem z in- nymi jeszcze towarzyszami starałem się utrzymać kopalnię w ruchu. Gdy udało nam się zabezpieczyć prowizorycznie urządzenia oraz ruch pomp w kotłowni, organizujemy strażę, które uzbrojone pilnują społecznego majątku.

Radosna wieść obiegła wtedy wszystkie wioski i miasta wyzwolonego kraju. Śląsk Polski, po siedmiu latach niewoli wrócił do Polski.

Razem z innymi wyjeżdżam na Śląsk Opol- ski, do kopalni „SOŚNICA” koło Zabrze, gdzie zaczynam pracować jako rębacz. Ale to już była inna praca.

Dlaczego inna praca? Czy węgiel się zmie- nił? Czy zamiast czarnego zacząłem wydoby- wać biały? Nie, węgiel nie zmienił się. A mo- że kopalnia była lepsza? A może lepszą ścia- nę otrzymałem, w lepszym pokładzie? Nie, bynajmniej. Odwrotnie, dał mi jeszcze gor- szą ścianę na najgorszym pokładzie, na po- kładzie 28. Więc może lepsze odżywianie by- ło, czy lepsza pensja, lepsza praca? Skądże znowu! Każdy z nas pamięta, jak to było z zaopatrzeniem w początkach 1945 roku i każ- dy z nas wie, jakie to były wtedy płace i co można było za nie kupić.

Pamiętam, już po naszym słynnym strajku okupacyjnym na naszej kopalni, gdzieś w trzydziestym piątym roku, prasa, która tak skąpo wtedy podawała jakiegokolwiek praw- dziwie wieści ze Związku Radzieckiego, a ob- fitowała natomiast w straszliwe o nim bzdury i brednie — podała w małej notatce, a po- tem — i większych artykułach (bo nie spo- sób było tego ukryć) — wiadomość o młodym radzieckim Aleksym STACHANOWIE, który na kopalni „CETRA LNAJA IRMINO” w Zagłębiu Donieckim w ciągu jednej zmiany wydobył 102 tony węgla i prze- kroczył 14-krotnie ustaloną normę. Wów- czas niektórzy z nas dziwili się i nie mogli tego zrozumieć. — O, teraz do- piero będą tam jego towarzysze mieli się z pyszną — mówili niektórzy — przekro- czył 14-krotnie normę, wykonał pracę za czterestu górników, teraz tych zwolnią i pójda z torba. Po co on to robi? I do tego jeszcze go za to chwala.

Nie rozumieliśmy wtedy, że w Związku Radzieckim, w kraju, w którym władzę dzierżą robotnicy i chłop, a zakłady pracy i bogactwa należą do narodu, zwiększona wydajność pracy powoduje nie wyrzucanie robotników na bruk, a odwrotnie, zwalnia tysiące robotników do innych czynności i do innych zajęć produkcyjnych, których tak wiele wymaga rozbudowujący się przemysł. Przyzwyczailiśmy się myśleć kategoriami kraju kapitalistycznego, w którym praca by- ła ciężarem, a nowość techniczna, inowacja w produkcji groziła zwiększeniem bezrobocia i zmniejszeniem dni pracy. Nieraz przed wojną słyszałem: — Nie dawaj, cholero, wię- cej węgla! Po co im dawać więcej węgla! Twój węgiel, czy co?

Teraz dopiero, kiedy zacząłem pracować na kopalni „Sośnica”, zacząłem rozumieć Sta- chanowa. Węgiel na „Sośnicy” nie był inny, ściana była gorsza, warunki gorsze, pożywie- nie nie bardzo i płaca niezbyt wysoka, a ja codziennie zjeżdżałem na dół z radością w sercu i z zapałem do pracy, jakiego nigdy nie miałem. Patrzyłem na kopalnię i myślałem sobie: nasza to kopalnia. Patrzyłem na wę- giel, który wydobywał się na wierzch i my- ślałem sobie: mój to jest węgiel, nasz to jest węgiel, dla naszych fabryk i dla naszych parowozów, dla naszego przemysłu.

I już wtedy na mojej ścianie zaczęło szyb- ko wzrastać wydobyte i zwiększać się wy- dajność. Dotychczas bowiem na ścianie dłu- gości 200 metrów, na której było 15 odcin- ków, wybierało każdy odcinek po dwóch lu- dzi. Zreorganizowałem tam pracę, zacząłem wykorzystywać łupliwość węgla, jeszcze wię- cej wykorzystywać ciągłą pracę młotka, roz- dzieliłem pracę na oddzielne czynności i po pewnym czasie wybierało już 2 ludzi nie je- den odcinek, ale osiem odcinków...

Samorzutnie, z własnej woli zmieniliśmy rozkład pracy na ścianie, by dać krajowi jeszcze więcej węgla, by przerzucić innych robotników na inne prace w tej samej ko- palni.

CJALISTY SPRZED 115 LATY

pod naciskiem opinii publicznej i liberalnej opozycji sejmowej uniewinnił Krepowieckiego. Uczestniczył w zamachu stanu 15 sierpnia 1831 r., który wyniósł na dyktatora gen. Kru- kowieckiego. W czasie walki o Warszawę Krepowiecki został ciężko ranny w głowę.

W listopadzie 1831 r. znalazł się w Paryżu, 15 grudnia t. r. wszedł do Komitetu Narodo- wego Polskiego (Lelewela) jako przedstawiciel skrajnej lewicy emigracyjnej. W Komie- tecie był rzecznikiem sojuszu z obozem rewolu- cji europejskiej. Przejął się doktryną Ba- beufa i związał się z rewolucyjnym ruchem karbonarskim Filipa Buonarottiego. W r. 1833—1835 był Krepowiecki szefem karbonar- skiego Namiotu Narodowego Polskiego, obejmującego ponad 400 rewolucjonistów emi- grantów. 17 marca 1832 r. zerwał z Komite- tem Lelewela i złożył wespół z Pułaskim, A. Gurowskim, J. N. Janowskim i Pułaskim Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Był głównym redaktorem „Aktu Założenia” T-wo (małego manifestu), w którym obciążał odpo- wiedzialnością za upadek powstania szlachtę, przeciwną społecznemu wyzwoleniu chłopu, głosił hasło solidarnego wystąpienia ludów przeciw tronom, zwiększenie ogólne uprzywile- żowania wzniesienia wyzysku człowieka przez czo- łwika i ustanowieniu wspólnego władania ziemią oraz jej owocami. 29 listopada 1832 r. wygłosił Krepowiecki na uroczystym obcho- dzie drugiej rocznicy powstania listopadowe- go w opactwie paryskim St.-Germain des Près słynną mowę w języku francuskim, któ- ra otwierała nowy etap rozwoju polskiej myśli demokratycznej. Potępił w tej mowie całą przeszłość szlachecką (pańszczyznianą — ka- towska) i wysunął jako naczelną zadanie ru- chu emigracyjnego — rewolucję społeczną, mogącą jedynie odrodzić Polskę. Mowa Kre- powieckiego przyspieszyła proces podziału emigracji na oboz postępu i wstecznicztwa społecznego. W styczniu 1833 r. usunęto Kre- powieckiego z Towarzystwa Demokratyczne- go Polskiego za zbytne uleganie dyktatwom Buonarottiego i skrajny radykalizm społecz- ny. W lutym 1834 r. władze policyjne wyda- liły go z Francji za udział w przygotowywa- niu rewolucji i agitację wśród robotników paryskich. Podażył wówczas do Brukseli,

skąd wkrótce wydany został do Anglii za napisanie bojowego artykułu w „La Voix du Peuple”. W Anglii Krepowiecki wraz z Wor- cellem i Pułaskim podjął ostrą walkę z czar- toryszczykami, wreszcie oddał się całkowicie pracy nad uświadomieniem żołnierzy pol- skich w Portsea-Portsmouth, przybyłych z katorgi pruskiej na przełomie 1833—34 roku (Grudziądz). Założył najpierw w Portsmouth sekcję Tow. Demokratycznego Polskiego i krzewił wśród żołnierzy chłopscy socjalizm u- topijny. Na tym też doszło do zatargu z Sek- cją Centralną T-wo w Poitiers, stojącą na gruncie własności indywidualnej. Wówczas Krepowiecki wespół z Sewerynem Dziewic- kim, Worcellem i innymi zerwał z Towarzy- stwem Demokratycznym i założył Gromadę „Grudziądz” Ludu Polskiego w Portsmouth oraz nieco później Gromadę „Humań” na wyspie Jersey. W Gromadzie „Grudziądz” był Krepowiecki jednym z najczynniejszych dzia- łaczy. Wskutek intrygi Worcella został 4 lip- ca 1837 r. usunięty z Ludu Polskiego pod za- rzutem usiłowania włączenia Gromady do O- gółu Londyńskiego. Usunięcie Krepowieckie- go zadało cios rozwojowi Gromady „Gru- dziądz” i spowodowało rozłam. W kwietniu 1838 r. Krepowiecki uformował z oddanych sobie wiarusów mistyczny „rewolucyjny od- łąm pn. „Wyznawców Obowiązku Społeczne- go” (w Portsmouth i Londynie), który złączył się w roku 1841 ze Zjednoczeniem Emigracji Polskiej Joachima Lelewela. Krepowiecki po- godził się wówczas z Worcellem i odtąd wspólnie organizowali w Londynie obchody rocznic listopadowych, meczestwa dekabrystów i Szymona Konarskiego. W roku 1844 Krepowiecki był promotorem manifestacji przeciw pobytowi cara Mikołaja I w Londy- nie oraz pomógł uciec marynarzom polskim ze statku rosyjskiego „Irtysz”. Obciążony ro- dziną, w niedostatku granicznym z nędzą, zarabiał na życie pracą fizyczną w maglu. Zmarł z wycieńczenia organizmu 5 stycznia 1847 r. Nad grobem przemówił Stanisław Worcell, plakał wiarusi, dla których zmarły był ojcem. Z głębokiej wdzięczności złożyli się na pokrycie kosztów pogrzebu oraz płacili przez dłuższy czas ze swych głodowych za- silków składki na utrzymanie dzieci Krepo- wieckiego.

Piotr Pigwa

Organizacja postępu na wsi

Parcela, chłop i rodzina; obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem. W ten sposób podstawowa masa narodu... tworzy się przez dodawanie jednoimennych wielkości, tak mniej więcej jak worek z kartoflami stanowi w sumie worek kartofli — pisał Marks o wsi w kapitalistycznym ustroju.

Zweźający się wraz z parcelą teren chłopskiej produkcji nie pozwalał na stosowanie osiągnięć nauki rolniczej, uniemożliwiał — rzecz prosta — wprowadzenie wyższych form produkcyjnych, planu produkcji w szerokiej, wiążącej wiele gospodarstw chłopskich, skali. W ustroju kapitalistycznym, w każdym „woreczku z kartoflami”, w każdej wsi, istniało praktycznie tyle swoistych planów gospodarczych, ile było „przedsiębiorców” na kureczących się parcelach. Planów nieuzgodnionych i niepowiązanych, a co ważniejsze — często ze sobą sprzecznych. Wykonanie planu produkcyjnego na jednej parceli, przez jednego chłopą i jego rodzinę, mogło nastąpić, przez niewykonanie planu na innej parceli, przez innego chłopą i jego rodzinę. Wieś w kapitalizmie musiała zatem przedstawiać tragiczny spłot sprzecznych interesów, musiała być terenem ostrej walki klasowej, w której bogatszy, silniejszy ekonomicznie wysadzał słabszego z jego „wieczyste” parceli. W rezultacie chłopstwo stało się ową szczególną klasą społeczną, wyłaniającą spośród siebie liczącą grupę wiejskiej burżuazji i odrzucającą równocześnie poza nawias życia masy proletariatu zwaną biedotą. Wiejska burżuazja legalizowała swoją władzę nad wsią poprzez oparcie istniejących instytucji społeczno-gospodarczych, urzędów gminnych, spółdzielni rolniczo-handlowych, kas kredytowych, związków producentów rolnych. Z tych instytucji opanowanych przez bogaczy jeszcze nie dawno padały słowa, że na wsi nie ma kapitalistów, nie ma wyzyskiwaczy, nie ma bogaczy i biednych — są natomiast pracownicy i nieroby. To samo mówili przed wojną fabrykanci, twierdzili, że wszystko osiągnęli własną pracą i wysiłkiem, bez wyzysku i każdy ma te same możliwości co i oni.

Głosy wiejskiej burżuazji, rozbrzmiewające nierzadko jeszcze nawet i dziś po gminach, gromadach i wsiach, tak bardzo podobne do wypowiedzi burżuazji przemysłowej, mają na celu opóźnienie utrwalenia wśród chłopów drobno- i średniorolnych świadomości podziału klasowego na wsi. Stanowią równocześnie jedną z form walki o zachowanie wpływu w dawnych i powstających instytucjach społeczno-gospodarczych i kulturalnych rozsianskich po wsiach.

W ciągu ostatnich kilku lat powstało i pracuje w naszych gminach, gromadach i wsiach tysiące nowych instytucji, tysiące starych otrzymało nową funkcję. Jest to w sumie już nie „worek kartofli”, ale **potężny aparat techniczno-organizacyjny**, zdolny przekształcać dotychczasowe stosunki w produkcji rolnej, przesuwać gospodarkę wsi ku wyższym formom organizacji pracy i wydajności.

Jedną z podstawowych ról powinno w tym przekształcaniu życia produkcyjnego wsi odegrać blisko 500 Państwowych Gospodarstw Rolnych, obsługujących 1/10 ogólnej powierzchni użytków rolnych. Mają one dostarczyć dla wzrastającej stale ludności nie-rolniczej 15—20% krajowej produkcji zboża i 7—10% krajowej produkcji mięsa. Ale przede wszystkim stanowią one pierwsze socjalistyczne gospodarstwa rolne. W tym właśnie fakcie leży ich podstawowa rola w przemianie życia produkcyjnego 40.000 naszych gromad. Gospodarstwa indywidualne znajdujące tu nowy wzór zespołowej, maszynowej gospodarki. Wiadomo, że używając tylko kosi trzeba 24 godzin pracy, aby zebrać plon z jednego hektara. Natomiast żniwiarka wykoną tę pracę w 18 godzin, snopowiazalka w 5 godzin, a żniwiarka-młocarnia w 2 godziny, przy czym ziarno przesypane się samo do worków w czasie pracy maszyny.

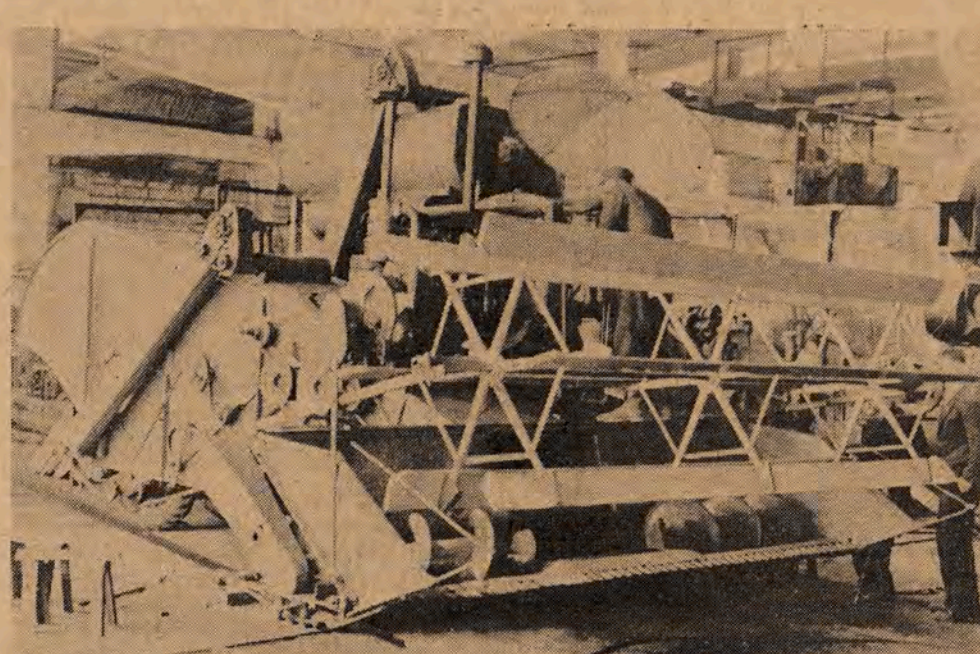
Wiadomo również, że przy pomocy prymitywnych narzędzi „obrabia” się hektar ziemi 11—12 dni, podczas gdy maszyny wykonują tę pracę w 2—3 dni.

Przejdźcie zaś do wyższej, zbiorowej formy produkcji rolnej, rozwijającej się w ramach szerokiego planu, rozwijającej raz na zawsze ów „worek kartofli”, rozplączkę zagmatwaną sieć sprzecznych interesów gospodarczych wstrząsających wsią, pozostającą w ramach kapitalistycznej gospodarki.

W sytuacji, kiedy na wsi istnieje i prze-waża gospodarka drobnotowarowa „droga do socjalizmu prowadzi przez maksymalny rozwój wszystkich form spółdzielczości rolniczej, rozwój spółdzielczości zbytu i zaopatrywania, rozwój powiązanej ze spółdzielczością masowej kontraktacji a szczególnie stopniowy rozwój spółdzielczości produkcyjnej, organizowanej na zasadach dobrowolności i w miarę wzrostu produkcji maszyn rolniczych i traktorów” (R. Zambrowski — „Aktualne zadania na wsi”).

Mamy w obecnej sytuacji około 60% gospodarstw starych ekonomicznie, mało wydajnych, wymagających silnego i zdecydowanego poparcia. Mamy również 10% gospodarstw dużych, silnych ekonomicznie, utrzymujących wiejską burżuazję, którą trzeba poprzeć walkę klasową w pierwszym etapie zneutralizować.

Wiele tysięcy rozmaitych instytucji oddano w ciągu ostatnich lat w służbę drobno- i średniorolnego chłopą. Są to ośrodki maszynowe, których liczba nieustannie rośnie,



W fabryce maszyn rolniczych

1. I. 1948 mieliśmy ich — 405, w styczniu br. — 2.022, dnia 1. III. 49 liczba ośrodków wzrosła do 2.368. Spółdzielce gminne ośrodki maszynowe i ich gromadzkie filie obsłużyły w ciągu 1948 roku 135.000 gospodarstw, w tym 70% mało- i średniorolnych. Równocześnie ponad 3.000 gminnych spółdzielni Z.S.Ch. i blisko 11.000 gromadzkich filii dostarcza biednym i średnim chłopom maszyn rolniczych, nawozów, elitarnego zboża siewnego, artykułów technicznych pierwszej potrzeby itp.

Jeżeli cała ta olbrzymia akcja pomocy służy drobno- i średniorolnym chłopom to — rzecz prosta — nie służy wiejskiej burżuazji, jeżeli wzmacnia pierwszych, to równocześnie osłabia drugich. Ale uzyskanie zwycięstwa nad chłopskim bogactwem nie jest bynajmniej łatwe. Wymaga wyrażenia linii podziału klasowego na wsi, wymaga zastrzeżonych form walki klasowej.

Bogacze umieją niejednokrotnie z powodzeniem przeciwstawić idei walki klas, dawne solidarystyczne hasła jedności wsi, „świętej zgody” itp. Umieją się zresztą wciśkać w zarządy organizacji kontrolujących działalność instytucji służby techniczno-gospodarczej.

W ostatnich miesiącach sytuacja uległa znacznej poprawie. Tysiące rozmaitych instytucji oczyściło swoje szeregi, uzyskując wyraźne oblicze klasowe. Partia robotnicza usunęła w swoich ogniskach wiejskich około 15.000 członków, z czego 75% stanowili bogacze wiejscy. Z władz Z.S.Ch. usunięto 8.223 członków zarządów terenowych. Spółdzielnie Z.S.Ch. pozbyły się 6.111 spekulantów i wyzyskiwaczy, przyjmując w ich miejsce element mało- i średniorolny.

Komitety członkowskie przy spółdzielniach, różnego typu zakładach produkcyjnych, punktach skupu, spółkach, związkach branżowych — to nowe instytucje klasowej kontroli, dbające o społeczną czystość działania gospodarstwa.

Wszystko to sprawia, że przekształca się życie gospodarstwa wsi. Pomoc techniczna i materialna dla chłopów wiąże coraz silniej ich

gospodarstwa w określone plany produkcyjne, w których dopracowują się i pilnują ich wykonania inne instytucje. Są to Rady Gminne, koła partyjne, gminne i gromadzkie ogniska Z.S.Ch., Koła Gospodyń Wiejskich, Związku Młodzieży Polskiej itd. Metoda kontraktowania poprzez związki branżowe, masowe zawieranie umów zbiorowych, wciąganie chłopów w lożyisko spółdzielczości samopomocowej stanowiły dobrą szkołę, z której wyłoniła się na terenie wsi, znana w klasie robotniczej instytucja — stałych narad produkcyjnych.

Coraz częściej napływają z naszych gmin i gromad meldunki o dopracowywaniu się jasno określonego planu podziału i podniesienia produkcji. Stosowanie zdobyczy technicznych, wprowadzanie najnowszych osiągnięć nauki pozwala w coraz to większym stopniu ustalać normy produkcyjne planu i jego zakresy. Przed kilku zaledwie dniami odbyła się narada produkcyjna puczniewian (pow. łódzki). Mówiono tam o podniesieniu produkcji w specjalnościach: uprawy pszenicy, okopowych, olejnych, pasz, bydła rogatego i nierogacizny. To znaczy, że na szczeblu gromadzkim można już jasno planować w poszczególnych działach produkcji. Mówiono i o osiągnięciach. Spółdzielnia melioracyjna uszlachetniała pasze, stan pogłowia wzrosł o 10%, kontraktacja trzody chlewnej wykonana w 140%.

Przykład zaczerpnięty z gminy Puczniew, nie pierwszy i nie ostatni, wskazuje wyraźnie na powolne, systematyczne przekształcanie się stosunków produkcji rolnej. Wskazuje ponadto na fakt przemiany stylu produkcyjnego życia wsi, opartego w coraz to większym stopniu o traktor i maszyny rolnicze, spółdzielnie samopomocowe, związki branżowe, wielkie akcje podniesienia uprawy hodowli, życia opartego — o plan. Oznacza to znaczne przybliżenie klasy chłopskiej do robotniczej. Wszędzie bowiem, gdzie jest plan, istnieją jego normy, które można osiągać i przekraczać, można przodować w jego wykonaniu. I tak jak mamy od kilku lat podstawowe, przodownicze ogniska produkcji

przemysłowej, tak pojawiają się przodujące gospodarstwa. Jest ich na wsi prawie 3.500.

Pojawiają się i przodownicy. Niedawno wyróżniono Stanisława Prusa — traktorzystę za wzorowe konserwowanie ciągników. W roku 1948 blisko 300 przodownic państwowych majątków rolnych przekroczyło normę pracy przewidzianą planem. Są to wzory pobudzające energię społeczną, zaradność i wynalazczość klasy chłopskiej.

Małorolni chłopci z gminy Domanice (pow. Siedlce) ob. Skupień i Garbacz skonstruowali maszynę dokonującą przecinki buraków, w miejsce zwykłej motyki. Dla dalszego rozwoju plantacji buraków wynalazek ten posiada — według opinii rzeczoznawców — kolosalne znaczenie.

Wysiłek produkcyjny klasy robotniczej, wyrażający się tysiącami maszyn rolniczych i motorów oddanych w służbę sojusznikowi chłopskiemu przynosi podwójne rezultaty. Nie tylko bowiem podnosi wydajność w rolnictwie, lecz powoduje także stopniowe przekształcanie jego form organizacji pracy, na doskonalsze, wyższe, bardziej techniczne, zbliża chłopski styl życia do robotniczego. A to jest ważne. Interesy rozwoju klasy chłopskiej leżą nie tylko w politycznym sojuszu z klasą robotniczą, ale również w konsekwencji przejmowania przez chłopów rolniczych, socjalistycznych form organizacji produkcji.

Dziś można już mówić o stałym i szybkim wzroście elementów socjalistycznych w rolnictwie. Np. w grudniu 1948 roku udział w skupie pszenicy wynosił — 25,7%, spółdzielczość samopomocowej — 70%, natomiast chłopska „inicjatywa prywatna”, działalność wiejskich, kapitalistycznych handlarzy zmalała do 4,3%. Jeszcze we wrześniu ub. roku prywatny kupcy obejmowali 45% obrotu żywności, w marcu bieżącego roku cały obrót żywności przejął państwo i spółdzielcze instytucje handlowe.

Teraz znaleźliśmy stopień skoordynowania interesu prywatnego, prywatnego interesu handlowego, sprawdzania go i kontrolowania przez państwo, stopień podporządkowania go interesom wspólnym, stopień będący przedtem przeszkodą, o którą potykało się bardzo wielu socjalistów — te słowa Lenina najlepiej chyba charakteryzują przekształcającą sens życia produkcyjnego wsi, rolę spółdzielczości.

Ale zmontowanie i uruchomienie potężnego aparatu technicznego, organizującego produkcję rolną na wyższych wzorach opartą, to dopiero połowa pracy. Druga jej część spoczywa w rękach przodowników wiejskich. Pod tym względem sytuacja nie została jeszcze opanowana.

„Za słabe mieliśmy jeszcze nasze kadry przodownicze w gromadzie (ale z tych względów opinia społeczna na tym szczeblu kształtowana była przez bogaczy wiejskich)... Gromady pojedyncze, jak wiemy, były do ostatnich lat bardzo luźno powiązane z życiem ogólnopolskim. Ludność poszczególnych wsi tworzyła grupę lokalno-sąsiedzką, powiązaną stosunkami klienteli pomiędzy biednymi i bogatymi. Bogacze wykształceni w szkołach rolniczych, wyrobieni organizacyjnie, prenumerujący gazety, trzymający w swych kleszczach gromadę, sabotowali skutecznie działalność Z.S.Ch.” (St. Ignar — przemówienie na III Kongresie Z.S.Ch.)

Tysiące najmniejszych instytucji, które w pewnej części wymieniliśmy, są w zasadzie obsadzone przez przodowników, ale wiadomo również, że tylko pewna część spośród nich pracuje odpowiednio. Dla uzyskania pełnego klasowego sukcesu w pracy zmontowanego z wielkim wysiłkiem aparatu technicznego nie jest bynajmniej obojętne, jacy go przodownicy poruszają.

Bogacze wiejscy, dawni oficjale dworscy, wiejska inteligencja zawodowa wynajmująca się każdemu ustrojowi, starzy działacze jeszcze z okresu „rozbudowania ludu” — te wszystkie kategorie przodowników są powoli zastępowane nowymi.

„Mamy już pewną ilość przodowników chłopskich na gromadach spośród małorolnych i średniorolnych, spośród młodzieży chłopskiej, wychowanej w Kołach Młodzieży Wiejskiej. Przybywa nam od ubiegłego roku aktywnych Służby Polsce” (St. Ignar).

I mamy co więcej nie mało instytucji kształcących odpowiedni aktywnych przodowników. Są to przede wszystkim wspomniane majątki państwowe, ośrodki maszynowe, spółdzielnie i koła gromadzkie Z.S.Ch., koła partyjne i ZMP, rady gminne itp. Tak jak od pracy przy warsztacie doszło do kierowniczych stanowisk około 13.000 robotników i robotnic w przemyśle, tak też poprzez praktykę w instytucjach bezpośrednio związanych z produkcją rolną wyrastać będzie nowy aktywny chłopski.

Niezależnie od praktycznego odbywania się także teoretyczne kształcenie aktywnych przodowniczych na tysiącach rozmaitego typu kursów. W ub. roku przeszło Z.S.Ch. 1.181 instruktorów gminnych, w bieżącym przeszło 3.000. P.Z.P.R. szkoli obecnie ponad 17.000 sekretarzy kół gromadzkich, członków egzekutyw i komitetów gminnych oraz aktywistów z różnych organizacji wiejskich.

Nacisk partii robotniczej na szkolenie ideologiczne oznacza zrozumienie podstawowego faktu, iż przełom ku socjalizmowi w najszerszych masach chłopstwa polskiego nie „dokona się bez ogromnej i bezpośredniej politycznej i organizacyjnej pomocy klasy robotniczej” (R. Zambrowski). Tak jak nie dokona się bez pomocy technicznej zmontowanej wielkim wysiłkiem produkcyjnym rolnika.

„TWÓRCY NAUKOWEGO SOCJALIZMU”

Książka Jean Freville'a o trudno przetłumaczalnym na polski tytule „Les briseurs de chaînes” w wydaniu francuskim została potraktowana, jako wprowadzona do „Manifestu Komunistycznego”. W wydaniu polskim tytuł francuski został zastąpiony przez „Twórcy naukowego socjalizmu”, cały zaś przekład pozbawiono charakteru wprowadzenia i uczyniono z niego samodzielną popularną monografię, poświęconą powstawaniu marksizmu.

Książka składa się z dwóch części: biografii Marksa i Engelsa, wraz z historią powstania ruchu robotniczego oraz popularnego wykładu niektórych działów filozofii marksistowskiej, a mianowicie materializmu dialektycznego i teorii walki klas. Można by zarzucić autorowi, że oba problemy są potraktowane niekompletnie, ponieważ część historycznej książki zawiera wypadki doprowadzone jedynie do chwili rozwiązania Zv. Komunistów w r. 1852 — przeszło 30 lat ożywionej działalności teoretycznej i praktycznej Marksa i Engelsa pozostało przez autora całkowicie pominięte, a część teoretyczna zawiera jedynie wykład materializmu dialektycznego i teorii walki klas, co bynajmniej nie wyczerpuje ogromu prac odkrywczych Marksa i Engelsa. Sądę jednak, że taki zarzut nie jest słuszny wobec wyraźnie monograficznego charakteru książki, z chwilą gdy tematem monografii jest jedynie sprawa powstania ruchu robotniczego i jego ideologii oraz przełamywania wszystkich feudalnych czy mieszczańskich pozostałości w tej ideologii. W efekcie takie po potraktowaniu tematu Freville mógł zaakcentować to, co jest w marksizmie najbardziej twórcze, najbardziej rewolucyjne i przez co marksizm najjaśniej odróżnia się od wszystkiego innego, co na tematy filozoficzne w dziejach myśli ludzkiej powiedziano.

*) S. Freville: Twórcy naukowego socjalizmu P. I. W. 1948.

**) „Ci, którzy zerwali pęta”.

Witold Jedlicki

Gustaw Tamala

POMÓC UCZNIOWI WIEJSKIEMU

Gdy zbliża się koniec roku szkolnego, nauczyciel wiejskiej szkoły znajduje się w szczególnie kłopotliwej sytuacji — staje wobec ciągłego tego samego trudnego dylematu, jak klasyfikować swoich uczniów. Czy trzymać się obowiązuje program oceny, czy też uwzględnić „naturalne” warunki ucznia wiejskiego, to znaczy zniżyć wymagania, a tym samym wypuszczać ze szkoły lub puszcząć do wyższych klas element słabiej przygotowanego.

W wypadku pierwszego selekcja na pewno byłaby bardzo ostra, uderzałaby w pierwszy rzędzie w dzieci drobnych chłopów. Drugie rozwiązanie też nie jest zadowalające, ponieważ stwarza sytuację „gorszości” nauki w podstawowej szkole wiejskiej. Sprawa trzeba by rozgryźć u korzeni. Powodem niezadowalającego opanowania materiału przez ucznia wiejskiej szkoły są przede wszystkim jego bardzo złe warunki do uczenia się poza szkołą. Dziecko wiejskie nie jest wyłącznie tylko uczniem, musi brać udział w zajęciach gospodarskich, które pochłaniają w dużym stopniu jego czas i energię.

Gdy badałem w jednej z podstawowych szkół wiejskich w powiecie radomszczańskim uczniów piątej, szóstej, siódmej klasy, okazało się, że na 100 dzieci tylko 14 jest wolne od cięższych prac w gospodarstwie. Pozostałe 86 dzieci uczestniczy w najrozma-

żystych zajęciach wraz z dorosłymi członkami rodzin — wszystkie one pasą bydło od godziny trzeciej po południu do zachodu słońca.

Przypatrzmy się, jaki ma dzień trzynastoletnia S. L., uczennica klasy szóstej.

Wstaje o godz. 5.30, sprząta dwie izby, wypędza krowy na odległość od domu o 1 km „konieczny” i dopiero idzie do szkoły, gdzie przebywa do godziny 12.30 lub 13.15. Po powrocie do domu pomaga zawsze przy gotowaniu obiadu, po którym zmywa naczynia, zamiata powtórnie izbę i pędzi zaraz krowy na pastwisko, skąd powraca, gdy nastaje mrok. Lecząc wtedy musi znów przygotować kolację, bo „mama też dopiero przychodzi z pola”. Lekcje odrabia wieczorem przy świetle lampy, lecz nie długo, bo mama krzyczy, że wypala za dużo nafty. Kładzie się więc spać, płacząc nieraz, że jutro pani będzie gniewała się, że ona nie umie zadanych lekcji i może nazwie ją nawet leniem, nieukiem i zostawi w „kozie”.

Czternastoletni K. M., uczeń klasy VI wstaje o godzinie piątej, daje koniowi obrok, bo tłumaczy mi — „tataś nie ma czasu” — później rąbie drwa, tnie słomę na podściółkę i dopiero potem zabiera się do szkoły oddalonej o 3,5 km. Powraca zawsze już po godzinie 14. Po obiedzie pędzi zaraz krowy, albo pracując koniem w polu. Wieczorem znów wraz z ojcem siekają koniowi, daje mu

obrok i dopiero je kolację, po której odrabia lekcje. Jest jednak tak zmęczony pracą, że najczęściej nad książką usypia.

Z tych 86 12-, 13- i 14-letnich dzieci 24 chłopców używanych jest do młocki, do wyrzucania obornika i rozrzucania go na polu, do robienia torfu, a 8 z nich kosiło już w czasie ubiegłych żniw po kilka dni zboża. Prace te wymagają tak dużo siły fizycznej, że męczą nawet dorosłych mężczyzn. Łatwo więc domyślić się, jak wpływają one na rozwój tych nieletnich dzieci.

Poza wciąganiem dzieci w zajęcia gospodarskie jest jeszcze jeden moment bardzo niekorzystny dla ucznia wiejskiego. W wielu wypadkach nie ma on gdzie odrabiać zadanych lekcji. Przy swoich dorywczych badaniach ustaliłem, że na 100 dzieci, z którymi przeprowadzałem wywiady, 46 gnieździ się z licznymi rodzinami w jednoizbowych mieszkaniach. Rodziny te liczą od 5 do 8 osób, w tym jest dwoje lub troje młodszego rodzeństwa.

Komitety rodzicielskie przy szkołach wiejskich muszą energicznie zająć się tą sprawą, by dziecku wiejskiemu stworzyć jakies możliwe warunki do uczenia się „w domu”. Chodzi przede wszystkim o to, by wśród ogółu rodziców pogłębiło się zrozumienie, że dziecku w godzinach pozaszkolnych należy wydzielić potrzebną ilość czasu do nauki. Druga

sprawa to stworzenie odpowiednich warunków lokalowych. Sprawę tę może częściowo rozwiązać świetlica szkolna, jako miejsce przygotowywania lekcji. Dla dzieci dochodzących do szkoły z innych wiosek można by organizować komplety, wyznaczając im na zmianę izby u gospodarzy, posiadających lepsze warunki mieszkaniowe. Byłaby to jedna z form pomocy sąsiedzkiej — tym razem dla uczącego się dziecka. W organizowaniu tych kompletów dużą pomoc mogłyby oddać koła wiejskie ZMP. W porozumieniu z nauczycielem mogłyby one rozłożyć opiekę nad dziećmi szkolnymi, kontrolować ich pracę, zastępować w ten sposób rodziców, którzy w przeważającym procencie nie są w stanie podjąć się tych czynności.

Przy spełnieniu tych warunków można by mieć nadzieję, że praca nauczyciela wiejskiego byłaby znacznie owocniejsza. Bez pomocy rodziców przy najlepszej swojej woli i kwalifikacjach nie jest on w stanie na tyle podnieść poziom wiejskiej szkoły podstawowej, by jej absolwenci zrównali się z młodzieżą kończącą szkołę podstawową w miastach. Odbija się to poważnie na młodzieży chłopskiej przechodzącej do szkół średnich — zawodowych i ogólnokształcących. Usunie się jej braki i niedociągnięcia, gdyż na terenie wsi będzie się akcentowało, że zadaniem dziecka w wieku szkolnym jest przede wszystkim nauka.

Józef Grabowicz

ZE SZKOŁY — W DZIAŁALNOŚĆ PRAKTYCZNĄ

Rok szkolny zbliża się ku końcowi. Młodzież Liceum Gospodarstwa Wiejskiego w Dąbrowie Zdunskiej przygotowuje się do egzaminów promocyjnych.

Do tej koedukacyjnej szkoły uczęszcza ogółem 173 młodzieży pochodzącej wyłącznie ze środowiska wiejskiego. W grupie tej 39 uczennice i uczniów to dzieci robotników rolnych. Ze 134, których rodzice posiadają gospodarstwa rolne, na małorolnych i średniorolnych przypada 119.

Pozostała 15-tka to córki i synowie bogatych chłopów, posiadających powyżej 10 ha ziemi. Do egzaminu maturalnego staje w bieżącym roku 13 osób.

Pochodzenie społeczne i warunki materialne owej 13 ubiegającej się o świadectwo dojrzałości są następujące: 4 bezrolnych (z tego rodzice dwóch pracują obecnie w fabryce), 4 małorolnych i pięciu średniorolnych chłopów. Wojna i okupacja sprawiły, że wszyscy jesteśmy dosyć zaawansowani w wieku. Mimo to jednak jesteśmy jedną z licznych grup młodzieży chłopskiej, która za kilka tygodni ma otrzymać świadectwa dojrzałości, która ma się stać awangardą młodzieży chłopskiej przy budowie nowej struktury społeczno-gospodarczej naszej wsi.

Wydać mi się, że nasza średnia szkoła rolnicza dała nam nie tylko odpowiednią wiedzę teoretyczną, ale także pokazała i nauczyła nas na konkretnych przykładach, jak należy realizować nowe koncepcje gospodarki spółdzielczej w oparciu o społeczne środki produkcji. Szkoła nasza jest bowiem związana ściśle ze środowiskiem wiejskim. Oprę się tu o fakty, które wyjaśniają pozycję i rolę naszej szkoły jako instytucji przekształcającej życie produkcyjne chłopskiej okolicy.

Z inicjatywy dyrekcji szkoły, w porozumieniu z Gminną Spółdzielnią Samopomocy Chłopskiej w Zdunach, został zorganizowany na terenie szkoły Spółdzielczy Ośrodek Maszynowy. W tym to ośrodku pod kierunkiem instruktorów uczymy się technicznych metod posługiwania się maszynami rolniczymi (jazda na traktorach itp.) jak również tworzymy nowe modele i konstrukcje praktycznych narzędzi rolniczych. Z Ośrodka korzystają także mało- i średniorolni chłopcy z okolicznych wiosek na zasadzie pomocy sąsiedzkiej.

Jeśli chodzi o naszą organizację wewnętrzną, to ta również oparta jest o spółdzielcze formy gospodarcze. Zorganizowana przez uczniów w początkach roku Uczniowska Spółdzielnia Wyżywieniowa prosperuje coraz lepiej i daje coraz lepsze rezultaty. W podobny sposób zorganizowana Międzyszkolna Spółdzielnia Uczniowska, zaspokajająca potrzeby uczniów, daje efekty. W skład członków Międzyszkolnej Spółdzielni Uczniowskiej wchodzi uczniowie naszej szkoły oraz sąsiedniego Gimnazjum i Liceum ogólnokształcącego w Zdunach. Wyniki osiągnięte we wspólnej pracy są niezbytym do wodom tego, że przy wysiłku zbiorowym obu szkół można było poprawić znacznie materialny byt wielu biednych uczniów.

Przed zorganizowaniem bowiem tej Spółdzielni (zorganizowano ją w maju 1947 r.), efekt (gospodarcze znaczenie oddziaływania na życie) spółdzielni były znacznie mniejsze. Poza tym mamy możliwość obserwacji istniejącego od roku 1948 Spółdzielczego Ośrodka Zdrowia.

Duża frekwencja chłopów, wyrażająca się w rzędach furmanek, stojących przed Ośrodkiem dowodzi, że chłopcy pozytywnie odnoszą się do niedawno zorganizowanej spółdzielni.

Możność brania udziału w kolektywnej gospodarce naszej szkoły i otaczającego ją tego życia możliwość oglądania konkretnych środowiska, możliwość obserwacji przejawów osiągniętych stworzyły podatny grunt, na którym kształtowała się nasza postawa wobec rzeczywistości.

Ale „nie od razu Kraków zbudowano”.

Muszę obiektywnie stwierdzić, że jeszcze przed rokiem koledzy moi reprezentowali bardzo szeroki wachlarz poglądów społeczno-politycznych.

Jeszcze przed rokiem wielu z nich patrzyło bardzo często na bieżące przemiany społeczno-gospodarcze sceptycznie. W precyzowaniu naszej ideologii, podstawową rolę odegrały „burze” dyskusyjne inicjowane przez nas. Te właśnie „burze” przyczyniły się w dużej mierze do wykrystalizowania naszego stanowiska, jakie obecnie zajmujemy w stosunku do współczesności. Przypominam sobie dziś starcie, jakie nastąpiło w naszej koleżeńskej gromadzie, bodaj w pierwszej dyskusji nad problemami współ-

czesnymi. Jeden z kolegów rzucił wtedy pod adresem moim i kolegi P. K. oświadczenie, że „takich jak wy jest mało”. Zgodziliśmy się nawet z tym oświadczeniem, ale stwierdziliśmy, że ta właśnie „mniejszość” zwycięży, bo rozwija się ona stale i narasta.

Pierwszym naszym zbiorowym wysiłkiem, który podjęliśmy na gruncie wspólnej oczyszczającej i skryształizowanej ideologii, było podjęcie wykładów przedmiotów zawodowych w szkołach PRU.

Ogółem przeprowadziliśmy przez miesiące luty, marzec i kwiecień 144 godzin lekcji w trzech ośrodkach gminy Bąków, a mianowicie — Bąkowie, Łąnkach i Niedźwiadach. Na marginesie należałoby zazna-

czyć, że lekcje te przeprowadzaliśmy poza normalnymi lekcjami swoimi.

Wykłady nasze rozpoczynaliśmy o godzinie 16, a kończyliśmy o godz. 20. Do miejscowości tych, odległych od Dąbrowy o 5—6 km, dojeżdżaliśmy rowerami, a czasem chodziliśmy pieszo. Nasz wysiłek należy uważać za udany. Akcję tę potraktowaliśmy jako przygotowanie czekającej pracy w oświacie rolniczej, do której przyjdzie część kolegów po zdaniu matury.

Pragniemy wprowadzić w życie to, co zaszczepiła w nas dąbrowiecka szkoła — kolektywne formy gospodarki produkcyjnej. Egzamin znacznie trudniejszy. Postaramy się jednak złożyć go również pomyślnie.

Ludwik Młot

MOJA WIEŚ — SIDZINA

W najdalszym krańcu powiatu myślenickiego na południowy zachód klinem wbita pod stok wygasłego wulkanu (według podań) Babiej Góry górującej nad wierchami okolicznych gór, w dolinie otoczonej wieńcem zalesionych szczytów z licznymi przełęczami górskich potoków osiadła podhalańska wioska Sidzina.

Historia tej wioski wiąże się ściśle z historią Polski, która pod panowaniem książąt i królów narażona była na ciągłe przetargi i handele. Za Jana Kazimierza okoliczne wioski z Sidziną należały do dóbr królewskich. W późniejszych wiekach Sidzina zmieniła właścicieli: według kaprysów panów, szła pod panowanie grafov madziarskich, hiszpańskich, austriackich, polskich książąt. Ściślejszą biografię wioski zostawiam Piotrowi Wyrobkowi, który obecnie zbiera rzadkie materiały, dotyczące historii wsi Sidziny. Pierwsi osadnicy tej wioski to skazanci z wyroków sądów królewskich, zmuszani do karczunku tutejszych lasów, spławiania drzewa do dolin. Tutaj osiadywali swoją karę. Od tego siedzenia przymusowego w tej dolinie ok. XVI w. dolinę tę nazwano Sydzina, w późniejszych czasach w nowej pisowni „y” przeszło w „i” tworząc nazwę: Sidzina. Obecnie ogólny obszar Sidziny wynosi około 5.700 ha, z tego na lasy państwowe wypada 1100 ha. Własnością przeszło 3000 mieszkańców jest 4800 ha ogólnej powierzchni, z tego 1/4 użytków rolnych, 1/4 łąk, resztę stanowią zarośla i lasy. Przez środek wioski przepływa górski potok Sidzinka spływający do rzeki Skawy. Po obu stronach jego cała wioska pocięta jest w poprzek na pasy około 200 m szerokości, ciągnące się od potoku aż po kraniec wioski. Tych pasów ziem kilkadziesiąt hektarów jest 52, a każdy nazywa się „Rola”. Na każdej takiej „Roli” pobudowane domostwa koło potoku, przeważnie gontami pokryte, ściśnięte do kupy, budowane bezplanowo.

W początkach rozwojowych Sidziny osadnicy chcący po odsiedzeniu kary tu pozostać, otrzymywali na prawach wieczystej dzierżawy te pasy ziem z lasami. Takich karcowników i dzierżawców w początkach było 52 i od ich nazwisk te pasy ziem, „Role” otrzymywały nazwy użytkownikowe. Na przykład: dzierżawca Kulka użytkował rolę „Kulkową”, znowu Lipa rolę „Lipową” itd.

W późniejszym czasie, gdy rody dzierżawców się rozmnożyły, gospodarowały systemem wspólnym, na rolach. Na przykład: Ród Motorów składający się z paru rodzin o tym samym nazwisku użytkował rolę Motorową. Jedną połowę zdanej do uprawy „Roli” zasiewano, a na drugiej połowie wspólnie pasiono bydło. Na drugi rok odłogiem leżąca rola była zasiewana, a drugiej używano na pastwisko. Plonem zebranym dzielono się według ilości członków rodzin i ich wkładu pracy. Czasem parę rodów łączyło się we wspólną uprawę i gospodarkę. Z czasem pod wpływem przyrostu ludności zwyczaj tego zanę-

chano. Uprawa roli była bardzo prymitywna, gdyż orano drewnianą sochą do końca XIX wieku. Starzy chłopcy jeszcze teraz wspominali o tej uprawie. Ziemiaki sadzono wprost pod skibę ziemi niewyrobioną, zarosłą trawą, jeżeli chłop posiadał 100 kg ziemniaków, to był bogacz. Toteż chociaż warunki pańszczyzny były cięższe, „wolność większa”, to niedzi i głód towarzyszyły całemu pokoleniu chłopów. Dziś jeszcze starzy chłopcy wspominali zaskoczenie od ojców opowiadania powtarzane z pokolenia w pokolenie, jak to „drzewiej bywało” w „lata głodne”, kiedy ludność tylko trawą się żywiła i grzybami rosnącymi po zginiętych wykrótach. W takie lata głodne siadał chłop na oklep na konia, drogę nie było żadnych, tylko moczary i jechali w dolinę za chlebem. Po paru tygodniach powracali ledwo żywy do dzieci głodnych z pie-niędzmi, rzucali je z przekleństwem na ziemię. Jedzcie pieniądze, bo chleba nie ma. Już wtedy chłopcy zaczęli szukać form ratunku. Toteż wybudowali śpiłchlerz kamienny stojący do dziś, śpiłchlerz gromadzki, do którego w latach urodzaju przymusowo oddawano część plonów na przechowanie na lata głodne. Czytać też niedzę chłopską i głód można i z kamiennych starych świątków przydrożnych rytymi relikwiami samorodnych artystów. Twarze chude, głodne, grube wargi i ręce popękane, tępy ból wyciera z oczu i rysów Chrystusów.

Ludzie jeszcze żyjący pamiętają, jak pierwszy żelazny plug przywitalo drwinami i śmiechem. Dopiero po upływie dłuższego czasu przekonano się o wyższości tego pluga nad sochą. Podorywkę zaczęto stosować dopiero za mojej pamięci. Plug do okopywania ziemniaków kilkanaście lat temu wprowadzono, chcieli go wsi wyświechtać, bo starzy ojcowie ani pomyśleć nie mogli, by konia z plugiem pusić w rzędy ziemniaków. Z takim uporem każda nowość musiała walczyć. Nie więc dziwnego, że gospodarstwa rolne do dziś uraga wszelkim doświadczeniom. Ale są jeszcze ważniejsze powody zaoferowania kultury rolnej. Gorsi i nie tak łatwe do usunięcia jest rozdrobnienie gospodarstw. Pod wpływem przyrostu ludności i zaniedbania wspólnego użytkowania dzierżawione pole dzielono pomiędzy członków rodziny, tak iż z początkiem XIX w. w czasie gdy zniesiono pańszczyznę, około 500 rodzin użytkowało podzieloną wioskę. Nawiasem wspomnę, iż ze wzrostem ludności dochodziło do tego, iż nie raz z piętnastu chłopów posiadało jedno brzmienne nazwisko i imiona. Dlatego też każdy chłop obok nazwiska nosił „przezvisko”. Przewiska pochodziły od honorowych czynności ojców, lub pracy obecnie wykonywanej, lub dotyczyły wad posiadanych. Tak powstały: Cieloki, Górnik, Głusoki, Stolarze, Halty, Mospany, Galase itp.

Przyrost ludności nie odpływającej nigdzie, zmuszał rodziców do podziału gospodarstw. Obecnie około 700 rodzin posiada parcele liczące zaledwie po parę arów. Grządki tych pól nierzadko dochodzą do 2 metrów szerokości.

kości. Gleba o podłożu skalistym grubości mniej więcej 10 cm., kamienista, dająca w latach urodzaju połowę tego co w Polsce centralnej. Sieją przeważnie owies, który najlepiej obradza, i ziemniaki, które na zboczach grani słońce piecze lub w czasie ulew spłukuje. Żyto przeważnie śniegi wylegają.

Do poprawy bytu tutejszych chłopów prowadzi droga tylko przez radykalną przebudowę ustroju rolnego, „scalenie”. Oczywiście równocześnie z przebudową ustroju rolnego musi podnieść się kultura rolna.

Sidzina posiada dwie szkoły 7-klasowe prowadzone przez 7 sił nauczycielskich. Uczęszcza do nich około 500 dzieci. Nie tak dawno w tej samej szkole uczył nauczyciel Cielplik, który codziennie leżał pijany w klasie przeklinając dzieci śmiejące się ze swojego bezwstydnego porozpinanego wychowawcy. Toteż z tej szkoły wychodzili analfabeci. A przecież chłopcy żyli w podatkach poważnie sumy na oświacie.

W czasie 20-lecia międzywojennego wyszło ze wsi do szkół średnich dosłownie tylko paru zamożniejszych synów chłopskich. Czy wieś skorzystała z ich nauki? Nie. Wcieli o brać rentowne probostwa, niż twardą pracę na chłopskich ugorach. Od czasu do czasu można było ich widzieć na odpustach, na które przyjeżdżali w coraz to większej tuszy.

Nie też dziwnego, że wioska żyła w zaoferowaniu i ciemnocie. Teraz po wojnie w jednym roku więcej uczniów poszło do średnich szkół niż w całym międzywojennym okresie. Mamy pewność, że ci, którzy dziś się uczą, nie zdradzą wsi. Serce się raduje, gdy na wakacje zjeżdżają i grupują dookoła siebie kolegów ze wsi, ucząc ich przez odczyty i pogadanki, tworząc kółka amatorskie i sportowe.

Oni też rozpoczęli współpracę i wymianę kulturalną z młodzieżą przyjeżdżającą z miasta do „Domu Dziecka” na wakacje turnusowe. Ta wymiana zbliżyła robotniczą młodzież do wiejskiej.

Czytelnictwo książek i pism dzięki istniejącej bibliotece tak szkolnej jak i gromadzkiej wchodził pomatu na dobrą drogę.

Gminna szkoła rolnicza dokształca fachowo młodzież pozaszkolną, ucząc ją praktycznych zajęć i życia społecznego. Kursy wieczorne likwidują analfabetyzm.

Zdrowotność wioski podnosi się stale. Z wielką radością wieś powitała projekt rządu, wy o bezpłatnym leczeniu chłopów. Żeby tylko sił lekarskich na tyle było by w terenach rozległych na jedną gminę był chociaż jeden doktor.

Przy pomocy rządu spaleni w „pacyfikacjach” niemieckich chłopcy częściowo się odbudowali, ostatnio otrzymali nawet poważne kwoty pieniężne na dokończenie odbudowy. Toteż z radością i ufnością patrzą w przyszłość.

Obym mógł jeszcze moją przemienioną wioskę oglądać i w niej żyć, to moje życzenie jedyne.

Czyn chłopski na Święto Ludowe

Oto depesze, jakie prasa notuje w związku ze Świętem Ludowym:

W powiecie Tarnów chłopi remontują świetlice, domy ludowe i szkoły. Gmina Pleśna naprawia drogę o powierzchni około 2.000 km kw.

Chłopi powiatu Biała Krakowska wykonają m. in. 2.000 m sześć. wału przeciwpowodziowego nad Wisłą, naprawią 28.000 m kw. drogi powiatowej i 15.000 m kw. drogi gminnej.

Na apel wsi Regnów (wieś, która pierwsza na wzór kopalni Zabrze-Wschód rzuciła hasło chłopskiego czynu) stanęli do wspólzwodnictwa chłopi powiatu Brzesko. Zaplanowane prace poza obrębem własnych gospodarstw i gromad pochłonię 5.800 dniówek pieszych i ponad 1.000 dniówek konnych.

W piętnastu gromadach powiatu Żywiec chłopi wyremontują świetlice, domy ludowe i szkoły.

Gm. Limanowa ukończy budowę przystanku kolejowego w Rabie Niżnej.

Podobne meldunki nadchodzą ze wszystkich województw Polski. Świadczą one nie tylko o rosnącym uświadamieniu społecznym i politycznym polskiej wsi, która w przemierzu i z pomocą klasy robotniczej buduje lepszą, wspanialszą przyszłość. Czyn chłopski napędza nową treścią Święto Ludowe, które staje się świętem siły narodowej, świętem przemyśla klasy robotniczej i chłopskiej, świętem jedności. Czyn chłopski tysiące gromad świadczy także o czujności polskiej wsi na wszelkie podstępny klasowego wroga, o zdecydowanej postawie walki ze wszystkimi pozostałościami kapitalizmu.

Rosną koła wiejskie ZMP

Pierwsze miesiące bieżącego roku przyniosły poważny wzrost sieci organizacyjnej Związku Młodzieży Polskiej. W miesiącach lutym i marcu przybyło organizacji 201.331 nowych członków. Na odcinku wiejskim liczba kół powiększyła się w tym czasie o 44 proc. obejmując na dzień 1 kwietnia 216.000 młodzieży chłopskiej i pracowników rolnych.

Setki nowych kół wiejskich ZMP to walna pomoc dla starszych przodowników wsi, dla samopomocowców, dla nauczycielstwa. Przez nich koła te muszą być otoczone troskliwą opieką. Jest rzeczą oczywistą, że instruktorzy etatowi nie są w stanie prócz wykreślenia ogólnego planu pracy czuć stale nad działalnością kół. Sprawa najważniejsza jest, aby ten ogólny plan skonkretyzował się w określonej robocie. Może to nastąpić tylko wtedy, jeśli koło zostanie wpisane mocno w życie swojej gromady, jeśli podejmie część tych zadań, jakie stoją do wykonania przed jego wsią. Wciągnąć w te zadania młodzież z kół może i powinien aktyw polityczny, gospodarczy i kulturalny wsi. Tylko w konkretnych robotach młodzież wiejska wyrobi w sobie zdolność do zespołowego i planowego działania, przez nacoczne wyniki swojej pracy najlepiej zachęci tych, którzy stoją jeszcze poza organizacją, do wstępowania w jej szeregi. Jak dotychczas koła wiejskie ZMP skupiają tylko 15 proc. młodzieży chłopskiej, a przecież ze względu na mnożące się zadania młodzieży aktyw wiejski musi się powiększać.

Polityka

„Tygodnika Powszechnego”

„Tygodnik Powszechny” prowadzi oryginalną politykę polemiczną. Mądra, języczna. Milczy, kiedy mu to wygodne, mówi — kiedy mu to wygodnie. Milczy i mówi zawsze po jezicku. Gdy „Wies” zadaje ks. Piwowarczykowi proste pytanie: czy Watykan i papież są tylko obrońcami wzniosłych prawd serca i duszy (jak chce ks. Piwowarczyk) — czy jest po prostu głową (wysocze moralną) światowej reakcji i wiernym przyjaciele Wall Street (jak dowodzą tego wszystkie fakty) — wówczas „Tygodnik Powszechny” i ks. Piwowarczyk milczą. Trudno się dziwić, ponieważ nie można zaprzeczyć reakcyjnej roli Watykanu. I tak to biedny „Tygodnik Powszechny” nabrął wody do ust i milczy. Przypuszczam. W jego imieniu odpowiadał kardynał Wyszyński w słynnym liście do londyńskiej emigracji. Odpowiedź była zupełnie jednoznaczna. Rację mieliśmy mieli.

A teraz p. j. m. s. przypomniał sobie moją recenzję (kilka tygodni temu zamieszczoną we „Wsi”) z książki Kischka „Chiny bez maszki” — no i zdenerwował się, biedaczek. Piszcie sobie, tak, ot, z głupia frant: cóż to znaczy te słowa o nędznych dzieciach, o zniszczonych kobietach, o niemiłosierności pracy i wyzysku i cóż to znaczy, że były u nas takie fakty w niedawnej przeszłości. Czy aby w Polsce przedwojennej — zapytuje. Ja nie bronie Polski sanacyjnej — pisze skromnie p. j. m. s. Wiemy, nawet bardzo dobrze, że p. j. m. s. nie broni jawnie, w piśmie, przedwojennej sanacji, ale czy pan, panie j. m. s. stracił już wszelką sympatię dla swych przedwojennych przyjaciół? Przecież jeszcze kardynał Wyszyński zalecał im, by zachowali ducha emigracji, by trwali uparcie na pozycjach, wrogich Polsce Ludowej. A pan co, panie j. m. s. w Polsce, pan występuje. To nieładnie, bardzo nieładnie.

Nam się jednak wydaje, że pan j. m. s. nie mówi tego, co myśli. Nie rozumiem jednak, dlaczego p. j. m. s. odniósł moje słowa o niedawnej przeszłości do Polski przedwojennej. Ja myślałem o okresie okupacji hitlerowskiej — tego mógłby się łatwo domyślić nawet szubak. Widocznie jednak p. j. m. s. jest inteligentniejszy od szubaka i w całości szuka dziury. Ale nawet — czyż za sanacji brakło wyzysku, nędzy, terroru,

FAKTY i ZDANIA

dzielenia zapalek na dziesięć części, głodu i bezrobocia, czyż Polska nie była kolonią zachodnio-europejskiego kapitału? Pan j. m. s. chciał obronić sanację przed cieniem podejrzania. Czy nie tak, panie j. m. s.? Czy z niewiedzy do sanacji? Nie, raczej z sympatii. I pocóż to kłamstwo, że nie broni się sanacji? Ewangelia zabrania przecież kłamać. Doprawdy nieładnie, panie j. m. s.

A później, to już mój szanowny polemista zalał się złością. Jak to ja śmiałem potwierdzić słowa Kischka, że w Chinach emisariusze katolicyści siłą nakładają skazanych na śmierć do przyjęcia wiary katolickiej. Wiadomo — mówi pan j. m. s. — że Kościół zawsze postępuje w myśl przykazań Ewangelii. Doprawdy? I wówczas gdy papież popierał agresję Mussoliniego w Abisynii, gdy święcone przez księży bomby włoskie padały na bezbrońną ludność abisyńską? I wówczas, gdy papież błogosławił „bohaterów” Hitlera i Mussoliniego, w czasie bandyckiej agresji na demokratyczną Hiszpanię, i wówczas, gdy błogosławił oś Berlin — Rzym — Tokio, i wówczas, gdy pozostawił Hitlerowi wolną rękę w czasie agresji na Polskę, i wówczas gdy knuł spiski przeciwko ZSRR, i wówczas gdy zaprzeczał naszym prawom do Ziemi Odzyskanych — zawsze papież postępował w myśl Ewangelii, czy tak panie j. m. s.? Niech pan i to podciągnie pod wzniosłe i humanistyczne przykazania Chrystusa o miłości bliźniego.

A z drugiej strony nie dziwię się zdenerwowaniu pana j. m. s. Bo, otóż armia ludowa w Chinach przepędza wraz z Kuomintangiem — także tych wysłanników Watykanu, którzy nie mogli się zgodzić na to, by Chińczyk umierał w swej wierze ojczystej.

Rozumiem pana, panie j. m. s. Przypuszczam jednak, że będzie się pan jeszcze często z tego powodu denerwował. A doprawdy szkoda nerwów.

Pod koniec jednak doradzę panu jedno: czasem lepiej milczeć, jak ks. Piwowarczyk, niż mówić jak pan. Za dużo wówczas wynika nieprzyjemnych spraw dla obrońców Watykanu.

K. S.

Rezerwy wyzysku

We wsi Zaleszczyki 100-morgowe gospodarstwo księdza Józefa Przybytkiewicza obrabia bezrolny chłop, ob. Marcin Sudo. Ob. Sudo „żyje w warunkach wprost oburzących. Zimą przy tegim mrozie śpi na słomie w stajni. Za pracę dostaje tylko jedzenie, o którym mówić nie warto. Aby otrzymać parę groszy na pastę do butów lub papierosy, musi całować księdza w rękę...” („Chłopska Droga” Nr 21).



O podobnych faktach wyzysku donosi prasa niemal codziennie. Niedawno byliśmy świadkami strajku robotników rolnych w majątku archidiecezji poznańskiej Nadziejowo (pow. Środa) wywołanego systematycznym wstrzymywaniem wypłat robotnikom, skandalicznymi warunkami mieszkaniowymi itp. To znowu Ojcowie Paulini na Jasnej Górze wymawiają mieszkanie („służbowe”) długoletnim pracownikom, gdzie indziej znów duchowni pracodawcy nie czują się zobowiązani do zgłoszenia swoich pracowników w Ubezpieczalni Społecznej itp. itp.

Stwierdzić należy: poza nielicznymi wyjątkami majątki kościelne, diecezjalne czy parafialne, uprawiają wyzysk! Nad faktami tego wyzysku obojętnie przechodzić nie można. Nie można czekać zmiłowania ojców duchownych. Jest Związek Robotników Rolnych i on w pierwszym rzędzie winien ingerować i regulować sprawy między duchownymi-pracodawcami a robotnikami. Robotnicy muszą poprzez swój Związek walczyć o zagwarantowanie odpowiednich warunków materialnych i kulturalnych. Właśnie walczyć: bo różne cuda oglądaliśmy, nie było tylko takiego, jak troska ojców zakonnych o robotnika obrabiającego pańskie winnice. zet.

Emigracyjna literatura

Emigracyjni królowie, prezydenci, ministrowie, wodzowie nieistniejących armii

i generałowie, prezesi stronnictw, liczących kilkudziesięciu członków, cała ta zgraja, wyrzuconych przez własne narody rozbitków ma własną literaturę. Są to: pamiętniki Mussoliniego, autora brukowej szmiry pt. „Kochanka kardynała”, pamiętniki „Generalnego gubernatora Franka”, autobiografia Trockiego, wspomnienia Mikołajczyka itp. Ostatnie nowości stanowią: książka renege Krawczyńskiego, wspomnienia „bez ostatniego rozdziału” gen. Andersa (napisane — jak mówią — przez pewnego dziennikarza, podwładnego generała bez żołnierzy) i wreszcie wielkopomne dzieło niezapomnianego Felicjana Sławoj-Składkowskiego zatytułowane „Prace i czynności rządu polskiego we wrześniu 1939 r.”. Lekarz, premier, „budowniczy” szaleństw i szynkarz z Tel-Awivu przemienił się ostatnio w pisarza.



„Jedyną prawie naszą funkcją jako rządu jest to, że trwamy” — tak ocenia premier pracę swego rządu w okresie, kiedy armie hitlerowskie zalewały kraj. Rząd po prostu trwał. Trwał nawet jeszcze w Rumunii po szczęśliwej wyprawie wzdłuż szosy zaleszczyckiej. A w Rumunii dowiedział się pan premier, że coś jest nie w porządku. Od kogo? „W Rumunię spotykał szefa francuskiej misji wojskowej gen. Faury. Jest mocno zgnębiony. Na moje pożegnanie „vive la victoire” ledwie coś odpowiada, co jednak nie ma nic wspólnego z zapalem do zwycięstwa. Jego oficerowie patrzą na mnie też zupełnie inaczej niż w Polsce. Zły znak”. Dopiero w końcu września zauważył pan premier zły znak. Kiedy Niemcy niszczą nasze miasta, krwawi się Warszawa, szef rządu stwierdza z całym spokojem, że bombardowania, rzezie bezbrońnej ludności, mogą wprowadzić defetyzm w zwarte szeregi „silnych i gotowych”. Z innych trosk rządowych wymienia Sławoj-Składkowskiego, który uciekł nocą w niewiadomym kierunku. Do pozytywnych osiągnięć rządu w czasie tragicznego września zalicza ożywioną korespondencję, w której Marszałek Senatu zapewnia Prezydenta, że wytrwa do końca, a prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego chwali któregoś z członków Sejmu.

Pamiętniki autora niewybrednych „Strzępów meldunków” stanowią jeszcze jeden dowód cynizmu, z jakim traktowały sanacyjne rządy walczący bohatersko naród polski. „Określ naszego urzędowania sunie jeszcze dalszym rozpędem, ale już bez nowego dopływu pary”. Więcej — określi dawno się rozbił, pasażerowie zatopili w morzu fałszy, paleniska wygasły.

Masarz z Ziemi Świętej, przypomina owego aktora, „który nie zmienił kostiumu i z dawnej sztuki stare przypomina słowa”. Głuchy i ślepy.

J. S.

Ow przedziwny socjalizm

W brytyjskiej Izbie Gmin podniósł ostatnio jeden z posłów sprawę olbrzymich zysków, jakie otrzymują angielscy kapitaliści.

W roku 1938 zyski te wynosiły 534 miliony funtów szterlingów, w 1948 r. pod rządami „socjalistów” Bevina i Attlee — 1.639 milionów funtów. „W wyniku tych



ogromnych, wciąż rosnących zysków zachodzi burzliwy proces zwiększenia kapitału i nabywania ogromnych prywatnych, wolnych od opodatkowania majątków” — mówił wspomniany poseł.

Nieźle się zatem powodzi kapitalistom pod „socjalistycznymi” rządami. A sytuacja świata pracy? Ten sam rząd Labour Party, oświadczył, że nie będzie tolerował robotniczych żądań podwyżki płac. „Konieczność ograniczeń, która zmusiła uciec się do zamrażania poziomu płac, jest dziś tak samo wielka jak i przed rokiem” — oświadczył Attlee.

Skądże się bierze taka konieczność ograniczania płac robotniczych przy równoczesnym zachowaniu całkowitej swobody gromadzenia kapitału dla książąt angielskiego przemysłu? Czyżby wypływała z istoty brytyjskiego socjalizmu? Nie. Taka konieczność bierze się z zależności dumnego Albionu od amerykańskiego imperializmu i planu Marshalla. A ta zależność powoduje, że istnieje ów prawdziwy „socjalizm” zwalczający żywotne interesy klasy robotniczej, roztaczający czułą opiekę nad kapitalistami. Jest to „socjalizm” Bevina, Bluma, Saragata.

a. b.

Kołowrotek

Francuski biuletyn ekonomiczny „Société d'Etudes Economiques et Documentaires” przynosi nowe szczegóły o katastrofalnym stanie gospodarki Francji. Liczba bankructw (drobne i średnie przedsiębiorstwa) wzrosła 5-krotnie w ciągu roku 1948 w stosunku do poprzedniego. Liczba hurtowników branży tekstylnej spadła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy z 1.200 na 850. W gazetach ukazują się masowo oferty na sprzedaż sklepów. Na 24 sprzedających zgłasza się przeciętnie 1 kupujący. „Le Monde” twierdzi, że Francji grozi w rezultacie deficyt na przeszło 100 miliardów franków. Wojna w Indochinach kosztuje Francję 210 miliardów franków rocznie. Kolejne państwowe wykazywały deficyt sięgający 21 miliardów fr. Gazownia około 20 miliardów fr. A pieniędzy na pokrycie niedoborów brak.

Po okresie pozornej stabilizacji, kiedy to ceny na niektóre artykuły żywnościowe (kartofle, jaja, jarzyny) nieco spadły, zanosi się na gwałtowną wyżkę cen i opłat podatkowych. W marshallowskiej Francji zachodzi dziwne zjawisko — pierwsze cztery — pięć miesięcy roku charakteryzuje się pewną stabilizacją gospodarczą, natomiast druga połowa roku to okres silnych wstrząsów ekonomicznych, rosnącego bezrobocia, gwałtownego spadku siły nabywczej obywatela, niżki jego stopy życiowej.

I tak „dokoła Wojtek”, aż do... Do całkowitego bankructwa istniejących jeszcze przedsiębiorstw francuskich. Albo inaczej — aż do zupełnego zrealizowania planu Marshalla.

(u.)

Faszyści mają głos w Paryżu

W Paryżu zdarzył się prosty, ale ciekawy wypadek. Otóż w lokalu należącym do jednego z resortów francuskiego Ministerstwa Finansów odbyła się licytacja skonfiskowanego mienia eks-marszałka Petaina. Salę wypełniała liczna publiczność o charakterystycznym składzie społecznym — więc zdymisjonowani oficerowie, markizowie, różne osoby znane z kollaboracji. Zanim rozpoczęła się licytacja w lokalu należącym do Ministerstwa Finansów panował spokój. Zaledwie jednak rozpoczęła się licytacja jeden ze zwolenników marszałka-kollaboracjonisty Markiz Bellvalle, pułkownik w stanie spoczynku, podniósł wrzawę i głośnym krzykiem zażądał przerwania licytacji. Bo jakże można licytować mienie kollaboracjonisty w zmarszalizowanej Francji — nieprawdaż? Wraz z markizem zaczęli krzyczeć jego współpracownicy obecni na sali. Potem markiz, stojąc w dumnej pozie na stole, zaczął wychwalać zasługi Petaina (zapewne na rzecz hitlerizmu). Wznowił się aparat usłusznych reporterów prawniczych pism.

A policja — obecna dotąd na sali — usłuszenie opuściła lokal. Uznała widocznie wystąpienie markiza za słusne i sprawiedliwe.

Kilka osób protestowało przeciw faszystowskiej manifestacji. Niewiele to jednak pomogło.

Kierownik licytacji oświadczył, że wyprzedaz została przerwana. Równocześnie na salę weszła ponownie policja i sprawnie wyprosiła zebraną publiczność.

I znów był spokój.

Petaim-kollaboracjonista odsiaduje karę wyznaczoną wyrokiem sądu Republiki Francuskiej, a petainowcy buszują na wolności — przeciwko wyrokowi Republiki i przeciwko samej Republice.

A rząd Queuille'a milczy. I sprzedaje Francję.

M. N.

W NUMERZE 22 (201) TYGODNIKA „WIES” z dnia 29 maja 1949 r.

Adam Mickiewicz — Puszkini; Aleksander Puszkini — Wiersze w tłum.: St. Ciesielska, Wł. Słobodnika, S. Pollaka; Jan Aleksander Król — Nowa Syberia; Kazimierz Lisowski — wiersz — Przeł. T. Ch.; Aleksander Smierdow — wiersz — Tł. A. K.; Borys Mejlach — Puszkini a romantyzm rosyjski — Tłum. Maria Kowalewska; Z dawnych tłumaczeń Puszkina — A. Mickiewicz, A. Odyniec, I. Zenowicz, L. Kondratowicz, B. Dołęga, L. Janiszewski, L. Juciewicz, K. Ujejski, W. Gomułki, L. Belmont. Jerzy Pomianowski — U. wagi o Mickiewiczu i Puszkini; Rok puszkiniowski w ZSRR — M. J.; Cz. Jankowski, St. Jaszowski, J. Soltys Romanowski — wiersze na cześć Puszkina; Jerzy Miller — „Za nami pójdą inni”; Jan Bratoszewski — W Poznaniu; Fakty i zdania; 28 ilustracji, 12 stron

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2

D-01856